Zet
sztuka kultura
sprawy społeczne

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

ROK III NR. 16 (64) WARSZAWA, DNIA 15 LISTOPADA 1934 R. CENA 50 GR.

Wielki Wróg?

W jednem z pism codziennych czytamy co następuje:

„Przez krew przelaną tak obficie w ostatnich czasach w Europie dąży się — zdaniem kół autorytatywnych — do innych celów, aniżeli autonomja czy wyzwolenie Macedonji. Są dobrze ukryte ręce w Europie, które jak na szachownicy *przesuwają zamachowców z kraju do kraju*, każąc im zabijać, grabić, niszczyć i podpalać w imię szumnych haseł.

„Celem dobrze zakonspirowanej i ukrytej poza licznemi związkami terrorystycznemi, rozsianemi po Europie *mafji*, jest bezsprzecznie wprowadzenie chaosu w spokojne i coraz to spokojniejsze stosunki. Zachodzi obecnie pytanie, *kto jest tym*, który kieruje całą tą niebezpieczną grą? Jacy ludzie, czy jakie państwo?

„Na to pytanie, jak dotąd, *nikt nie dał wyczerpującej odpowiedzi*. Co więcej: odpowiedzi tych jest bardzo wiele i bardzo sprzecznych ze sobą, rzucających podejrzenia w tym czy innym kierunku, waśniących poszczególne państwa ze sobą. Niektórzy twierdzą, że te chaotyczne odpowiedzi na wspomniane pytania są także dziełem mafji, której zależy na podtrzymaniu wrzenia w Europie.

„Czy pytanie, *kto jest mącicielem pokoju europejskiego*, na czyj rozkaz pękają bomby i padają strzały rewolwerowe w różnych krajach, *zostanie rozwiązane w najbliższej przyszłości*, o tem trudno przesądzać z góry."

Cytowany przez nas głos nie jest bynajmniej odosobniony. Od pewnego czasu — powiedzmy: od czasu afery Stawiskiego, kiedy to słowo „mafja" padło po raz pierwszy z ust francuskiego ministra spraw wewnętrznych, prasa wszystkich niemal europejskich krajów zaczyna stawiać to pytanie coraz częściej i natarczywiej. Sprawa jest istotnie piekielnie zagmatwana. Istnieje niewątpliwie w Europie wielu ludzi, którzyby mogli powiedzieć coś konkretnego na ten temat, skądżeby bowiem brały się wszystkie te akcje tajne i zamachy, gdyby nie było ludzi, którzy je inspirują; jednakże ci najlepiej poinformowani mają właśnie usta zamknięte na kłódkę. Co zaś do innych, postronnych obserwatorów tego przeraźliwego widowiska, to zdają oni sobie sprawę, że nie jest zbyt bezpiecznie ryzykować odpowiedzi na to pytanie.

Temniemniej pojawiają się raz po raz różne hypotezy, rewelacje i przypuszczenia, świadczące, że opinja publiczna docenia pierwszorzędną wagę tego zagadnienia. Poszukuje się związków między wydarzeniami tak odległemi, jak zbrodnia marsylska i zabójstwo min. Pierackiego (hypoteza jednego z pism paryskich). Podejrzenia kierują się to w tę to w ową stronę. Ale nici śledztw policyjnych urywają się, zazwyczaj tuż pod powierzchnią, nikt bowiem nie jest zdolny wedrzeć się w ciemną głąb labiryntu konspiracji międzynarodowej.

Są ludzie, którzy wbrew oczywistym faktom, wciąż jeszcze nie chcą wierzyć w istnienie takich sił zakonspirowanych. Nie zastanawia ich nawet to zdumiewające zjawisko, że najtęższe łby policyjne i wszechwiedzące cwane instytucje śledcze w rodzaju Intelligence Serwice i in. nadaremnie kołują w tym lesie zagadek, najwidoczniej jak dzieci wyprowadzone w pole przez mózgi silniejsze od nich i bardziej wyrafinowane. Już to jedno dowodzi, że działa tam maszyna organizacyjna o technice arcysprawnej i niezmiernie skomplikowanej, każąca przypuszczać, że wprawia ją w ruch rozumna jakaś, a świadomie zbrodnicza siła.

Zagęszczenie zamachów, rewolt, aktów terroru stało się ostatnio tak niepokojące, że nikomu z nas nie może być obojętne, jak się ta „zabawa" rozwinie. Ostatecznie idzie tu przecież o naszą własną skórę, o „być — nie być" wszystkich europejskich narodów. Staje się już wyraźnem, że z jednej strony świat niechce wojny i czyni rozpaczliwe wysiłki, by nie dopuścić do niej, zaś z drugiej strony jakieś ukryte siły usiłują nagwałt przyspieszyć jej wybuch. A to już nie są żarty. To jest walka na śmierć i życie pomiędzy instynktem samozachowawczym Europy a kimś, komu nowy kataklizm światowy jest właśnie potrzebny dla jego celów. Zmagają się tu dwie wole ogromne i los nasz zawisł od wyniku tej rozgrywki.

Odnosi się wrażenie jakby złe, niewidzialne ręce targały rozmyślnie wszelkie węzły tej wielkiej sieci pokoju, tkanej ustawicznie przez wysiłki dyplomacji i przez postępy współpracy kulturalnej pomiędzy narodami. I nie jest chyba zbiegiem okoliczności ten fakt, że równocześnie ze wzrostem nasilenia zamachów, usiłowanych przewrotów politycznych i rewolt socjalnych, wzmaga się też błyskawicznie tempo zbrojeń, stanowiące najlepszy wskaźnik gorączki niepokoju, trawiącej rządy i narody. Codzień czytamy coś na temat. Oto Ameryka przystępuje do rozbudowy swej floty wojennej nie oglądając się na wynik londyńskich rokowań flotowych. Oto Włochy powiększają swą flotę i obejmują przysposobieniem wojskowem już nawet dzieci od lat 6-ciu (!) Oto we Francji marsz. Petain wnosi o kredyty dodatkowe na uzbrojenie, w wysokości 800 miljonów franków. Oto Niemcy przywracają przedwojenną organizację armji (24 korpusy), a rozbudowują lotnictwo wojenne do gigantycznych rozmiarów. (Anglicy obliczają że Niemcy są w stanie w ciągu dwu lat wypuścić 20.000 maszyn bojowych). Oto Rosja sowiecka—wedle relacji gen. Grazioli, oraz lotnika franc. Henry de Keryllisa — jest dziś w dziedzinie lotnictwa wojennego najlepiej uzbrojonem państwem świata. Oto rumuńska rada ministrów uchwala kredyty na nowoczesny sprzęt bojowy. Oto Czechosłowacja idzie za jej przykładem. Oto król belgijski przemawia publicznie w obronie koniecznych, a pospiesznie dokonywanych przez armję belgijską zbrojeń. Czy mamy dalej wyliczać tę litanję wiadomości z ostatnich paru dni?

Możnaby rzec, że związek między wyścigiem zbrojeń a wrzeniem podziemnem w Europie jest tylko pozorny i przypadkowy. Taki oportunizm jest oczywiście dozwolony, tylko że prowadzi on do zaniechania prób przeciwdziałania niebezpieczeństwom, jakie się ku nam zbliżają. Pogodzić się z takiem stanowiskiem, to uznać „status quo ante", a to znaczy: zdać się na los przypadku: zaś to prowadzi do „laissez - fairyzmu" absolutnego, niegodnego zaiste nowoczesnej ludzkości, która ma ambicję, że składa się z ludzi czynu.

Jeżeli Europa chce naprawdę uniknąć wojny, która w obecnych warunkach byłaby iście apokaliptyczną katastrofą, to nie pozostaje jej nic innego, jak podjąć zbiorową akcję, wiodącą do wykrycia i unieszkodliwienia świadomych mącicieli pokoju. Jeżeli zaś akcja taka ma mieć jakiekolwiek szanse powodzenia, to obok usilnego śledztwa, prowadzonego przez skoordynowane aparaty policyjne wszystkich zainteresowanych krajów, powinno się nakreślić szeroki plan rozumowy, złożony z szeregu opartych na zasadzie prawdopodobieństwa *hypotez kierowniczych*, plan wymagający głębokiej znajomości tajnych sprężyn politycznych, historji konspiracyj i psychologji terroru. Jak dotąd robi to bowiem wrażenie zupełnego dylentatyzmu, nie mówiąc już o przeszkodach, jakie sobie stawiają wzajemnie instytucje śledcze różnych krajów.

Podejrzenia, jakie się rzuca, nie są ani poparte dowodami, ani nawet wyraźnie sprecyzowane. Jedni mówią o Niemczech Hitlera, inni o masonerji międzynarodowej, lub o jakiejś tajnej centrali wszystkich organizacyj terrorystycznych. Jednakże kończy się tylko na podejrzeniach. A przecież sprawa ta musi być kiedyś wyświetlona, jeżeli ohydne metody terroru (bomba, rewolwer, sztylet, trucizna, podpalenie) mają naprawdę zniknąć z powierzchni ziemi; a zniknąć powinny, zniknąć muszą, jeżeli cywilizacja i prosta etyka ludzka — wraz z głoszonemi oficjalnie ideałami humanitarnemi — nie ma ustąpić miejsca tryumfującej barbarji.

Jest faktem stwierdzonym istnienie mnóstwa sekt mistycznych, tajnych kółek, organizacyj nihilistycznych i terrorystycznych, konspiracyjnych sprzysiężeń nacjonalistycznych; w Europie członkowie ich liczą się w miljony. Jest faktem, że grupy te walczą bronią terroru, którym posługują się z tą straszną wprawą, jaką im daje wieloletnia rutyna. Jest faktem, że zapomocą terroru usiłują one potargać sieć organizacji pokoju, bo sprawy, którym służą, mogą wygrać tylko na chaosie, na rewolucji, na wojnie. Jest wreszcie faktem istnienie związków (zresztą dość trudno uchwytnych) między temi poszczególnemi grupami i konspiracjami, istnienie centrów, w których się one wzajemnie komunikują, zabiegając o pomoc i współdziałanie. Musimy tedy przyjąć, że te ich porozumienia i kontakty są albo doraźne, przypadkowemi spowodowane okolicznościami, albo też, że jest gdzieś dobrze ukryty *mózg centralny*, komitet nadrzędny. Pomińmy jednak tę ostatnią straszliwą hypotezę, a przyjmijmy ewentualność bardziej prawdopodobną i z punktu widzenia przeciętnego śmiertelnika zupełnie zrozumiałą, tę mianowicie, że owe fermenty rewolucyjne, owe grupy terrorystyczne, czyto nacjonalistyczne czy lewicowe, czy wreszcie złożone z anarchistów i nihilistów integralnych, wygrywane są jako narzędzie przez jakąś inną siłę o zasięgu światowym, nie mogącą się oficjalnie posługiwać metodami tego rodzaju.

Jakież to mogą być siły?

Jak dotąd podejrzenia idą w czterech kierunkach: 1) hitlerowskich Niemiec, 2) Rosji sowieckiej, lub raczej międzynarodówki komunistycznej, 3) światowej konspiracji masońskiej, 4) zorganizowanego żydostwa światowego. Na podstawie dzisiejszych danych trudno jeszcze stwierdzić, która z tych potęg jest najgłębiej związana z terrorystycznem podziemiem, oraz która z nich prze obecnie do wywołania wojny, czy przewrotu społecznego. Natomiast odpowiedź na pytanie: którą z nich uważać należy za podejrzaną, powinna brzmieć naszem zdaniem: wszystkie cztery. Sporną pozostaje tylko kwestja metod i kwestja odpowiedzialności bezpośredniej za ostatnio notowane w Europie akty terroru.

Ad 1) Mówiąc o Niemcach hitlerowskich mamy na myśli nietylko rząd berliński, ale i cały ruch narodowo-socjalistyczny, jako permanentną rewolucję polityczno - społeczno - religijno - gospodarczą, opartą o doktrynę rasizmu i występującą do walki z żydostwem światowem. Brutalność metod, jakiemi posługuje się ta doktryna, jest powszechnie znaną; także niektóre fakty terroru stwierdzone zostały w stosunku do niej ponad wszelką wątpliwość (np. zamordowanie Dollfusa, wytępienie bez sądu przywódców S. A.). Trzeba jednak przyznać, że był to terror z odsłoniętą przyłbicą, w imię otwarcie wypowiadanych zasad i celów; to też nie daje on jeszcze podstawy do oskarżenia Niemców o świadome inspirowanie zbrodniczych zamachów, mających zburzyć pokój i wywołać zawieruchę światową. Zresztą, hitleryzm (i faszyzm) nie istniał jeszcze wcale, gdy akcja międzynarodowa tajnych organizacyj terrorystycznych była już oddawna konsekwentnie i bezlitośnie prowadzona.

Ad 2) Mówiąc o Rosji sowieckiej trzeba znowuż odróżnić czynniki następujące: a) rząd federacyjny (Rada Komisarzy Ludowych), b) Komintern, c) partję komunistyczną, d) Politbiuro. Mózgiem doktryny i akcji światowej rewolucyjnego komunizmu jest niewątpliwie Polit-biuro, zaś partja, jako organ naczelny, jest mu bezpośrednio podporządkowana. Rząd federacyjny natomiast i Komintern stanowią dwie ręce tego ciała, te właśnie, o których wolno powiedzieć: „nie wie lewica co czyni prawica" (i naodwrót). Rząd rosyjski może sobie wstępować do Ligi Narodów i oświadczać się pod adresem Europy z najsłodszemi komplementami, grając rolę anioła pokoju. Ale Komintern, któremu podlegają z ślepem posłuszeństwem partje komunistyczne wszystkich krajów globu, zdąża tymczasem nieustępliwie do celów własnych, wiadomych tylko sobie i Polit-biuru. Co do metod, jakiemi ta piękna instytucja umie się posługiwać, nie należy mieć złudzeń. Hitlerowskie „Gestapo" musi się jeszcze długo uczyć, zanim dorówna bolszewickiej precyzyjnej maszynie terroru. To też należy sądzić, że Komintern zna dobrze mechanizm konspiracyjnego podziemia i umie grać po mistrzowsku na tym instrumencie.

Ad 3) Co do masonerji, to walka z tą organizacją jest o wiele trudniejsza niż z dwiema poprzedniemi. Składa się na to szereg przyczyn: a) hitleryzm i komunizm są to doktryny i organizacje o celach i metodach działania wyraźnie określonych, więc akcja przeciwko nim może mieć postać jasno sprecyzowaną, nie gubiąc się w mrokach niewiadomego, b) hitleryzm istnieje kilka lat, komunizm kilkadziesiąt, a masonerja *kilkaset*, przeszła więc lepszą od nich szkołę (ma za sobą niejedną już rewolucję i nie dziesiątek aktów terroru), c) w swej strukturze organizacyjnej i w swej taktyce jest masonerja o wiele bardziej nieuchwytna, niż jej uczniowie (komunizm) i przeciwnicy (hitleryzm, który rozwinął się podobno z tajnej organizacji antymasońskiej: „Przeciw - Loża"), d) jest z nich wszystkich najliczniejsza i najbardziej rozpowszechniona we wszystkich zakątkach globu; sami masoni twierdzą, że są najpotężniejszą organizacją na świecie, obok kościoła (ich cyfra oficjalna dosięga około 5 miljonów, bez stopni najniższych i bez grup, w których masoni są przywódcami): e) materjał ludzki tej organizacji jest najbardziej wypróbowany, bo składa się niemal wyłącznie z inteligencji i to z t. zw. elity, gdyż masonerja wciąga do lóż o ile możności wszystkie jednostki wybitniejsze o nastawieniu liberalnem i radykalnem, f) masonerja ma mnóstwo ludzi na wysokich stanowiskach politycznych, w urzędach, parlamentach, administracji, sądach, armji, których wpływy wykorzystuje do ukrywania się przed okiem władz śledczych i do tuszowania skandalów (egz. sprawa Stawiskiego).

Ad 4) Problemat żydostwa międzynarodowego jest niezmiernie skomplikowany. Kulisy tej sprawy spoczywają w mrokach, zdawałoby się nieprzeniknionych. Wiadomy jest udział żydostwa w rewolucji rosyjskiej; procent ich na czołowych stanowiskach w państwie dyktatury proletarjatu (i w kompartjach wszystkich krajów) jest ogromny. Niezaprzeczalne też są ich związki z wolnomularstwem światowem, choć masonerja żydowska — Bnai Brith — stanowi jakoby organizację całkowicie wyodrębnioną. Co do aktów terroru, to stwierdzenie inspiracji z tej strony jest bardzo trudne; jeżeli ona istnieje, to tylko przez pośredników, bardzo okrężnemi drogami. W konspiracji żydowskie związki tajne zdają się być niedoścignionymi mistrzami.

Komu z tych czterech sił naczelnych zależeć może na wywołaniu zawieruchy światowej, odpowiedzieć niełatwo. Ostatnio wódz faszystów angielskich, Mosley twierdził w publicznem przemówieniu, że wprawdzie żydzi gwałtem prą do wojny światowej, aby zniszczyć Niemcy Hitlera, i chcą koniecznie sprowokować Anglję do wystąpienia, ale oni, faszyści przeszkodzą temu. Ile na tem prawdy, niewiadomo.

W każdym razie, jeśli śledztwo przeciwko ciemnym siłom, przygotowującym jakiś wielki przełom, ma być skuteczne, nieodzownem jest skierowanie uwagi na cztery powyższe czynniki (zwłaszcza dwa ostatnie, które były dotychczas przeoczane), z równoczesnem hypotetycznem przypuszczeniem, że — oprócz nich — *może istnieć jeszcze jakaś rdzenna centrala terroru, organizacja nadrzędna*, sprzymierzająca się tylko sporadycznie, w miarę potrzeby, z tamtemi potęgami. Ale tu już dziedzina Wielkiej Niewiadomej...

Prof. Chwistek wykłada karty...

W numerze wrześniowym „Przeglądu Współczesnego" znajduje się nader interesujący artykuł Leona Chwistka p. t. „Obrona logiki". Ponieważ ostatnio — poza „Zetem" — atakował poglądy Chwistka jedynie Roman Ingarden[1]), a Chwistek już mu osobno odpowiedział[2]), ponieważ książka jego „Zagadnienia kultury duchowej w Polsce" została przez nasz literacki półświatek entuzjastycznie przyjęta, i tylko w „Zecie" spotkała się z druzgocącą oceną krytyczną Witkiewicza, który przeprowadził gruntowną analizę „rzeczywistości umysłowej" Leona Chwistka[3]), — należałoby mniemać, że artykuł ten[4]) miał być autorytatywną odpowiedzią „tytana logistyki", mającą ex cathedra zdezawuować wysunięte przeciwko niemu zarzuty. W samej rzeczy, prof. Chwistek wykłada tu karty na stół, i drapując się w togę obrońcy prawdy i wszystkich najwyższych wartości kultury, usiłuje przemawiać niejako z wierzchołka dotychczasowej historji, skąd, jak z biblijnej góry Synaj ciska tablicami przykazań, wygłaszając rzeczy definitywne, sądy apodyktycznie pewne, ugruntowane na „ścisłem myśleniu", poza którem wszystko ma być irracjonalnym obłędem, nonsensem i bzdurą.

Zobaczmyż tedy, o czem nas naucza mistrz i prorok.

(Uwaga w nawiasie: Zaznaczam, że piszę ten artykuł na własną rękę, bez porozumienia z Witkiewiczem, z którym na temat chwistkowej „Obrony logiki" nie zamieniłem dotąd ani słowa. Poprostu, natknąłem się sam na ten artykuł i przeczytawszy go, powziąłem chęć wyrażenia swojej skromnej opinji o zawartych w nim myślach, oraz o ich autorze).

„Z kim okoliczność"?

Nie zamierzam bynajmniej polemizować z Chwistkiem, wiem bowiem, że raczy on odpowiadać tylko tym adwersarzom, którzy noszą tytuł profesorski (snobizm osobliwy), a i tych nawet traktuje „z wyniosłości Pańskiej" (jak mówi Pismo Św.), czego dowód mieliśmy w jego polemikach z prof. Leśniewskim i z prof. Ingardenem; nawiasem mówiąc, zadużo mamy w Polsce tych — à la Miriam — pychą nadętych balonów gumowych, w których wnętrzu kryje się, starannie ukrywana, impotencja i próżnia.

Do czegóż zresztą prowadzić może polemika z człowiekiem, który twierdzi, że „nic w filozofji udowodnić się nie da", i że filozofja jest terenem, „który *nic wspólnego* nie ma z zagadnieniem prawdy i fałszu". Dla Chwistka byłoby to bezpłodnem, bo poza sferą „znaczków", produkowanych przez automatyczną maszynę logistyki, gardzi on wszystkiem, jako nienależącem do dziedziny „ścisłego myślenia". Dla mnie byłoby to poniżającem z tego względu, że mnie idzie o prawdę, Chwistkowi zaś tylko o swobodną paplaninę w ramach „systemów indywidualnych", bo z punktu widzenia teorji typów logicznych (w jego radykalnej interpretacji), niema różnicy między „bredzeniem czarownic" a np. fenomenologją Husserla. Wreszcie byłoby to nawet śmiesznem, jak walka z wiatrakami, bo przecież skoro istnieją tylko poglądy indywidualne i to *bez znaczenia*, to i cały pogląd Chwistka jest sobie jeszcze jednym poglądem indywidualnym bez znaczenia. Myślę nawet, że gdyby Chwistek umiał logicznie myśleć, a więc stosować i do siebie tę piękną zasadę konsekwencji i niesprzeczności, którą ustawicznie szermuje, dostrzegłby komizm sytuacji, w jakiej się postawił, i zamilkłby wogóle.

Nie chcę naśladować Chwistka w schlebianiu półinteligenckim laikom, do których tak chętnie się zniża (aby być przez nich zato oklaskiwanym), muszę tu jednakowoż odwołać się do prostej logiki przeciętnie inteligentnego czytelnika. Wydaje mi się, że nie potrzeba aż nieomylnego aparatu logistyki pp. Chwistka, Whiteheada i Russella, by to zrozumieć: 1) jeżeli Chwistek chce lansować swój punkt widzenia na zadania i rozwój historyczny myśli filozoficznej (wyrażony w art. „Obrona logiki"), jako pogląd jedynie słuszny, ogólnie obowiązujący, czyli prawdziwy, to jest on w sprzeczności z własną tezą, że pogląd prawdziwy i powszechny nie może istnieć, a istnieją tylko poglądy indywidualne, dowolne i bez znaczenia; 2) jeżeli zaś Chwistek uważa, że tylko filozofja stoi „poza zagadnieniem prawdy i fałszu", jako luźny stek indywidualnych poglądów, logistyka natomiast stanowi istotne panaceum prawd absolutnych, to ma on prawo zgłaszać pretensje do nieomylności tylko w obrębie *tej jednej dyscypliny;* uroszczenia jego do rozstrzygania — z jej specyficznej perspektywy — wszystkich problematów, powstających poza jej obrębem, są tedy albo zuchwałym dyletantyzmem, albo świadomem gmatwaniem naczelnych problemów filozofji, w celu obniżenia i tak już zatrważająco niskiego stanu kultury duchowej w Polsce.

Konterfekt demona.

To ostatnie podejrzenie wysuwa właśnie Witkiewicz w swem studjum „Leon Chwistek — Demon Intelektu", drukowanem na łamach „Zetu", demaskując, jeden po drugim, demoniczne, djabolistyczne niemal rysy umysłowości Chwistka. Istotnie, spryt i konsekwencja, z jaką prof. Chwistek wodzi umysły swych uczniów i czytelników po labiryncie myśli filozoficznej, aby obezwartościować w ich oczach filozofję, zrelatywizować systematycznie prawdę i pomieszać definitywnie pojęcia podstawowe, które z rąk jego wychodzą zawsze „przefasonowane naodwrót", zdaje się potwierdzać to ponure przypuszczenie. Ja jednak, nie znając Chwistka osobiście i nie mając możności wglądu w zakamarki jego psychiki, gdzie — zdaniem Witkiewicza — jak w tajemniczem akwarjum walczą ze sobą straszne, pożerające się potwory[5]), pozwolę sobie znacznie uprościć to zagadnienie.

Wydaje mi się, że Witkiewicz znacznie przesadził z tą demonją. Epitety „tytana ducha", „straszliwego mózgu" i t. d., niepotrzebnie wyolbrzymiają to, co jest poprostu chaosem i niechlujstwem myślowem. Niezdolność do zawładnięcia swemi własnemi procesami duchowemi, niemoc uporządkowania swego „ja" nie może — i nie powinna — nikomu imponować. Biologicznie może to być nawet potężny nabój sił, splot żądz, instynktów i emocyj niezmiernie skomplikowanych, intelektualnie jednak okaz taki zwie się poprostu „słabą głową". Dostrzega to chyba sam Witkiewicz, skoro pisze: „Oto jest beztroska wizja Chwistkowo-Russellowego świata, nieporządnego, zagwazdranego w swej istocie, wieloznacznego i logicznie brudnego, w którym można umysłowo tarzać się dowoli we wszystkich kierunkach"; bo to, że Chwistek posiada prócz tego „eksterytorjalną" „czyściutką kabinę logiki", wcale go nie broni przed tym zarzutem, gdyż nie umie on, z jej pomocą, zdać sprawy z całej tej reszty, choć to właśnie — nie co innego — jest właściwem zadaniem filozofa.

Każdy przeciętniak potrafi snuć nieuporządkowane dywagacje, przeskakując z tematu na temat, i właśnie ta maniera myślenia spokrewnia Chwistka z półinteligenckim tłumem i z literackim półświatkiem nieodpowiedzialnych fantastów. Wywyższać się ponad najtęższe mózgi w dziejach filozofji z tego tytułu, że się nic nie wie i nic nie może, to już zaiste „bezczelność" większa, niż ta o którą Chwistek pomawia Hegla[6]). I znowuż konstatuje to samo Witkiewicz: „ogromnie łatwo jest pluralistyczno-sceptycznie rozbabrać ten bałagan i stać nad nim z tryumfem, z wyłupionemi oczami i tryumfować właśnie z tego powodu, że wszystko jest płynne i pojęcia tak wieloznaczne i płynne również, że się na ten temat nic powiedzieć nie da". (Zet, nr. 19, rok II, „L. Ch.-D. I.").

Wszystko co mówi Chwistek poza terenem logistyki dowodzi zupełnej niezdolności do tworzenia, ustalania i wiązania pojęć, bez czego przecież niema spekulacji filozoficznej, prowadzącej do rezultatów pozytywnych. Chwistek jest impotentem w dziedzinie istotnej twórczości umysłowej, stąd jego nienawiść do wielkich twórców systemów, stąd szafowanie obelgami i biadanie na ich rzekomy irracjonalizm, stąd tęsknota do „aparatu myślenia" pozwalającego „przy pomocy pracy mechanicznej, dostępnej dla każdego człowieka, zdolnego do zrozumienia zwykłej arytmetyki" rozwiązać wszystkie naczelne problematy rozumu. Bezpłodność to kazała mu się schronić na teren „wielkiego systemu logiki", gdzie się odbywa mechaniczne, sztucznie ułatwione, płodzenie znaczków i twierdzeń, gdzie wszystko da się bez trudu wyprowadzić i udowodnić (jeżeli n. b. przedtem przyjęliśmy gotowe założenie *z poza systemu!*), co stanowi dla impotentów filozoficznych idealną namiastkę twórczości prawdziwej. Imponować to może tylko niewtajemniczonym, tak jak technika wygimnastykowanych palców pianisty imponuje płytko-muzykalnej widowni; cała jednak istotna problematyka filozoficzna pozostaje tu nietknięta.

Nie znaczy to, bym zapoznawał walor poznawczy logistyki i jej niewątpliwe zasługi (o których powiem poniżej); idzie mi tylko o rozgraniczenie kompetencyj, o dyscyplinę spekulatywną, która powinna hamować nazbyt pochopne zapędy do symplifikacji zagadnień i do przeskakiwania trudności bynajmniej nieusuniętych. Największe szkody w historji myśli ludzkiej wyrządziła właśnie ta histerja, z jaką nowopowstałe dyscypliny pchały się na terytorjum swych sąsiadów, szukając wszędzie analogji do własnych metod i zadań, i żonglując przedwczesnemi obietnicami. Jeżeli metafizyka grzeszyła tem nieraz, dopóki nie ukrócił jej uroszczeń opatrznościowy genjusz Kanta, to logistyka prześcignęła ją jeszcze w niedozwolonym optymiźmie, próbując nawet wyrugować z królestwa wiedzy ją samą, do czego metafizyka — w stosunku do logiki — nie posunęła się nigdy.

Prof. Chwistek reprezentuje te wady świeżo zrodzonej dyscypliny w postaci radykalnie wyolbrzymionej, co odbiera mu prawo do tych brutalnych wycieczek przeciwko przedwczesnym uogólnieniom „bezczelnych" metafizyków, wycieczek, jakich pełna jest jego „Obrona logiki".

Niekonsekwencje i sprzeczności.

Odczyt prof. Chwistka da się podzielić na trzy części: W pierwszej przeprowadza on *słuszną* krytykę nauk pozytywnych, od których tyle się spodziewano w kwestji wyjaśnienia najwyższych problemów rzeczywistości, a które tak sromotnie zawiodły te oczekiwania, chroniąc się ostatecznie pod opiekuńcze skrzydła filozofji. Druga zawiera całkowicie *błędną* krytykę metafizyki, przeprowadzoną na tle dość dyletancko ujętej historji filozofji, krytykę, która w odniesieniu do systemów nowożytnych zdradza kompletne niezrozumienie istotnych zadań filozofji, połączone z niezdolnością do recepcji prawdziwego znaczenia tego, co się dokonało na terenie filozofji w pierwszej połowie XIX-go wieku (z wyjątkiem jednego Kanta, którego prof. Chwistek docenia i rozumie w aspekcie jego minimalizmu i agnostycyzmu, kładącego tamę metafizyce *dogmatycznej*, co odpowiada Chwistkowi, — ale który też założył na jej miejscu *transcendentalną* metafizykę sądów syntetycznych a priori, co już profesor uważa za stosowne lekceważyć). Wreszcie część trzecia zawiera właściwą apologję logistyki, wywołującą szereg zastrzeżeń — z powodu swego fanatycznego bezkrytycyzmu, a zakończoną patetycznym akordem odezwy do intelektów i narodów.

Kamieniem węgielnym, na którym wspiera się — podług Chwistka — cały gmach „ścisłego myślenia" (którego wyłączność uzurpuje on w pierwszym rzędzie sobie, a potem pokrewnym sobie koryfeuszom logiki, typu Whiteheada i Russella), jest arystotelesowskie principium contradictionis i wynikająca zeń zasada konsekwencji, bez której niema „racjonalizmu krytycznego". Gdybyśmy powiększyli ten kamień węgielny o 2) principium identitatis, oraz o 3) zasadę teleologiczną racji bytu (leibnizowska diversitas identitate compensata) — moglibyśmy się zgodzić z prof. Chwistkiem, jako reprezentantem owego racjonalizmu krytycznego. Zaraz jednak musielibyśmy się zastrzec, że jeśli bez zasady konsekwencji niema racjonalizmu krytycznego, to niema go właśnie u Chwistka, a przynajmniej niema go wtedy, gdy mąż ten przechodzi od teorji do jej praktycznych zastosowań w swych polemikach i pracach naukowych. „Sprzeczność na każdym kroku", jak słusznie konstatuje Witkiewicz. W samej rzeczy, człowiek, który odwartościowuje filozofję, odmawiając jej jakiegokolwiek normatywnego i poznawczego znaczenia, a następnie namawia do jej uprawiania i biada nad upadkiem kultury filozoficznej w Polsce, stawia sam sobie nieśmiertelny pomnik niekonsekwencji. O takich anty - logicznych wyczynach historja nie zapomni napewno. Ale prof. Chwistek sieje sprzecznościami z hojnością zastraszającą, na każdej stronicy swych pism i w każdym niemal ustępie.

Oto n. p. piętnuje on (na str. 336, „Obrona logiki") tych przyrodników, którzy zamiast ograniczyć się do ścisłego, naukowego myślenia, odwołują się do „doktryn, wychodzących daleko poza zakres zdrowego rozsądku i ścisłego myślenia". Zdawało by się więc, że prof. Chwistek: 1) uznaje rozsądek za źródło genetyczne wszelkiej wiedzy, poza które nawet filozofja wychodzić nie powinna, 2) widzi w nim najwyższe kryterjum poznawcze, oraz 3) utożsamia jego użycie ze ścisłem myśleniem. Tymczasem na str. 339 czytamy: „Zdrowy rozsądek przyjmuje się razem z wszystkiemi przesądami, tkwiącemi w odnośnej klasie społecznej, *nie bacząc na to, że jego granice są o wiele ciaśniejsze, niżby się wydawało na pozór*".

Prof. Chwistek jest radykalnym zwolennikiem poznania opartego na doświadczeniu; podług niego tylko nauki przyrodnicze (empiryczne) i logika (ścisłe rozumowanie) mogą zdać sprawę z istoty rzeczywistości; „metafizyka nie jest i być nie może poglądem na rzeczywistość (co to jest rzeczywistość? — *przyp. mój)*, opiera się bowiem na zasadniczej pomyłce, tkwiącej u jej korzenia, a mianowicie na założeniu, że istnieje jakieś poznanie inne prócz doświadczenia i ścisłego rozumowania" (str. 340). Chwistek dzieli sobie — dość symplicystycznie — teren wiedzy na „naukowe myślenie" (nauki przyrodnicze i logika), oraz „irracjonalizm" (metafizyka). Zdawałoby się więc, że nauki empiryczne — w jego mniemaniu — są niezawodnem narzędziem poznawczem i sięgają, dzięki metodzie doświadczalnej, w głąb rzeczywistego istnienia, tembardziej, że, zdaniem jego, mylnym jest pogląd, że „na dnie zjawisk istnieje prawdziwa irracjonalna rzeczywistość, o której fizyka nigdy nic powiedzieć nie będzie w stanie". Tymczasem gdzieindziej mówi: „Weyl pomija zupełnie ten fakt, że teorie fizykalne są czystemi abstrakcjami, których nie możemy nawet uważać za *obraz* rzeczywistości", (str. 336) „wielka tradycja nauk ścisłych zachwiała się w naszych czasach" „granica między temi naukami i irracjonalnym obłędem stała się trudna do ustalenia" (str. 339).

Prof. Chwistek może na to powiedzieć, że: 1) nauki zachwiały się dlatego, bo zamiast pozostać w obrębie doświadczenia, wtargnęły niepotrzebnie na teren metafizyki, chcąc rozstrzygać najwyższe problemy istnienia, i tu z konieczności znalazły się bez kryterjów, popadając w irracjonalizm, 2) nauki nie miały jeszcze oparcia w logice, bo jej tak jakby nie było, musiały tedy wesprzeć się o metafizykę, podczas gdy dziś logika przyjdzie im z pomocą, przywracając zwichniętą równowagę. Ja jednak zwrócę mu wówczas uwagę na to, że, wobec tego, logika powtarza dziś błąd i grzech nauk empirycznych, bo zamiast pozostać w obrębie czystej formalistyki myślenia, gdzie jest dyscypliną pożyteczną i normatywną, pcha się na cudze podwórko, przywłaszczając sobie atrybucje i zadania rdzenne metafizyki, gdyż pragnie rozstrzygnąć bez reszty sam problemat rzeczywistości absolutnej; w ten sposób logistyka sama nieuchronnie zabrnąć musi w irracjonalizm, wówczas zaś nie będzie już jej miał kto ratować (chyba że poda jej rękę ta pogardzona metafizyka, którą Chwistek tak znienawidził).

Przykłady takich rażących niekonsekwencyj mógłbym podawać dalej; sądzę jednak, że to wystarczy.

(c. d. n.) *Jerzy Braun.*

---

[1]) „Das Literarische Kunstwerk".

[2]) „Tragedja metafizyki werbalnej".

[3]) „Leon Chwistek — Demon Intelektu", Zet, nr. 5, 7, 9, 10, 12, 13, 14, 15, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23.

[4]) Przedruk odczytu wygłoszonego w lwowskim oddziele „Tow. Przyrodników".

[5]) „Patrząc w jego duszę mamy wrażenie, że jesteśmy w jakiemś demonicznem akwarjum, gdzie w złowrogiem milczeniu walczą nienazwane przez nikogo monstra" (Zet, nr. 5, rok II. „Leon Chwistek — Demon Intelektu").

[6]) Pozwalam sobie na ten epitet, bo co wolno Chwistkowi w stosunku do Hegla, to chyba wolno mnie w stosunku do Chwistka.

Konnemu Czwartakowi

I.

Pragnąłbym zrewanżować się autorowi „Jeszcze jednej odpowiedzi" za jego komplementy, gdybym — widząc jak kopie umarłych — mógł brać za dobrą monetę jego ukłony pod adresem żywych. Przytem pochlebia sobie p. Zawodziński. Nie było potrzeba inteligencji do streszczenia jego artykułu z „Drogi". Wystarczała sumienność. I nie potrzeba było inteligencji na wyłowienie tego cymesu: ustępu o Warszawiance. Całe odbronzowańko stoi na tym samym poziomie, ale gdzieindziej ogólniki, tu próba przynajmniej czegoś w rodzaju analizy.

Czy mam p. Z-mu powiedzieć, skąd się wzięła różnica *tonu* między moją notatką a artykułami redaktora „Zetu"? Z kilku, o ile wiedzieć mogę, przyczyn a i z tej także, że żyję w kraju, gdzie jeśli nie w polityce, to w literaturze przynajmniej — nie zamarło jeszcze poczucie śmieszności. Nikt we Francji nie zgorszyłby się próbą zdemolowania sławy np. Racine'a — i były takie — ale „krytykiem", któryby temu Racine'owi brak talentu i ignorancję wytykał a sam przy tej sposobności brak wykazał choćby takich, jakich się o jego sztukach od licealnego uczniaka wymaga wiadomości — zajęliby się przez tydzień Clèment Vautel i inni humoryści; w Polsce podobny fakt naturalnym zupełnie znajdują szczególni z redakcji „Drogi" entuzjaści! Jakżeż, kochany Pan — scenę ze Starym Wiarusem przełożywszy na koniec — opowiadać mógł tym panom o „nieudolności kompozycyjnej" Warszawianki, skoro Pan nawet nie wiedział, gdzie ten koń ma brzuch a gdzie podogonie?

Chętnie — i z tą samą, z jaką go streściłem, sumiennością — rozbiorę cały artykuł z „Drogi"; gdy się p. Z. *dla tej odpowiedzi* o gościnność wystara w tej samej „Drodze". Tutaj to, co się wiąże z jego ostatnią odpowiedzią.

1 Pieśń z Warszawianki

Wyznam, że miałem uciechę. „Polaki są nieprzepłacone", mówi do Słowackiego Mefisto[1]).

Jedno z tragicznych arcydzieł. „Cała przeszłość i my sami, zawieszeni nad żywiołową plazmą przeznaczenia" (Brzozowski). Przytem dramat tak w swej prostocie kunsztowny, że przy nim (tu się waham, bo skopawszy Wyspiańskiego, p. Z. ukłon głęboki składa „belgijskiemu mistrzowi" i wiem, że jego polskie serce rozkrwawię), że przy nim, na mistycyzm i metafizykę tylko zamistyfikowany (Kołaczkowski), teatr Maeterlincka jest ciesielską robotą. *To* oplute kilkoma frazesikami: „potwornie nudny", „banalny", „mętny", „fałszywy", „nieudolny" — *j'en passe et des meilleures* i jakże będzie wspaniały ten „niesfałszowany" Chłopicki, którego p. Z. nam dać... obiecuje! — a wzamian za to, Autorowi przyznana, „niezaprzeczona" *zasługa:* odkrycie nieznanej pieśni. Zasługa w dodatku okazuje się, że zasługą nie była, jak historyjka o pieśni okazuje się tem, czem jest cały artykuł — to nie ja „terroryzuję" p. Z-go, to on mówi — „zadowoleniem się przybliżeniem" i „śmiałością niekompetencji". Temi właśnie, które w tym ustępie u Wyspiańskiego stwierdza p. K. W. Zawodziński!

„Historyjka" wzięta jest z Boya. On to, już nie wiem gdzie, opowiada jak to, dzięki Wyspiańskiemu, pieśń „Warszawianka", dla niego i dla dość szczególnego, w jakiem się obracał, środowiska, stała się — na chwilę — rewelacją sentymentów, o jakie się ta „młodzież" już sama nie posądzała. To, pod piórem p. Z-go zmieniło się najpierw w „odkrycie" a teraz w „spopularyzowanie" i t. d. Szczegół jest drobny a przedstawia się następująco. „Warszawianka" (słowa według Delavigne'a, muzyka Kurpińskiego) nie była nigdy zapomnianą. Śpiewać jej nie przestawało wszystko, co o Polsce śpiewać mogło i śpiewało, czy to z rzeczywistego czy z t. zw. obchodowego patrjotyzmu. Jeśli dzisiaj śpiewniki do tekstu pierwotnego wprowadzają poprawki Wyspiańskiego („swobodnie" zam. „swobodo", „grodach" zam. „grobach" i t. p.), nie jest to żadnym dowodem zapomnienia tej pieśni przed wojną, przy którem *in verba iurans* obstaje p. Z. Była ona, przeciwnie, równie popularną jak inne analogiczne pieśni patrjotyczne i w zaborze austrjackim — a ten tylko mógł wchodzić w rachubę — popularyzowaną być nie potrzebowała, zaś w Krakowie, gdzie śpiewały ją rozmaite „Echa" i w rozmaitych „Wieńcach" grały nawet austrjackie wojskowe kapele, nieznaną być mogła tylko przyszłym filarom „Zielonego Balonika". — By wiedzieć, czem dzisiaj jest Warszawianka, są to wiadomości zbyteczne. I można — skoro p. Z. przy tem kryterjum obstaje — Warszawiankę oceniać nawet z punktu widzenia analfabety, który nic nigdy o czwartakach nie słyszał, trzebaż jeszcze sztukę przeczytać (zamiast potem opowiadać, że się ją tylko znało „z pamięci"). I można się o tamtych czasach informować u Boya — trzebaż jeszcze rozumieć i jego.

Tamte... epitety; konni czwartacy i „niezaprzeczona zasługa"; a teraz znów „terror". Wyznam, że miałem uciechę — nieprzepłaconą. Ale zrozumiałem także, co mi ktoś z Polski pisał (i potem zmarł wkrótce, może z obrzydzenia). Że wolałby, żeby go czytać nie nauczono — po polsku.

II.

Druga uciecha, to był drugi (chronologicznie pierwszy) występ Czwartaka, jako „krytyka" Wyspiańskiego, artykuł z „Przeglądu Współczesnego"[2]). Tam, w „Drodze", „obalenie" kilku pstryczkami tradycji i elementów kultu, jakim instynktownie naród otacza pamięć jednego z dwu największych swoich genjuszów; tu obrona jednego (fałszywego) z tych elementów i obrona tradycji. Zupełny brak humoru, na jaki zdaje się już nieuleczalnie zapadli moi rodacy, sprawił, że zapewne i to wesołe widowisko pozostało niedostrzeżone: niespodziewany tradycjonalizm, który z danej tradycji wszystko inne posyła do djabła i to tylko konserwuje nabożnie, co tego djabła podaje za starego poczciwca!... W artykułach, w których niełatwo odróżnić, co u piszącego jest ignorancją, a co zaufaniem do jeszcze większej ignorancji czytelnika, nie łatwo jest zdefinjować rolę świadomości; ale kult, który je podyktował, jest szczery i może zająć niemniej od każdej „rozumem niepokonanej wiary". Warto się też bliżej przyjrzeć jego przejawom.

Wernyhora Matejki

Literatura o Wyspiańskim jest obfita. Z niej znajomość pism Lacka, Brzozowskiego, Kotowicza i Kołaczkowskiego — by tylko umysły przedwojennej formacji wymienić — jest dla piszącego o nim niezbędną. Tak samo znajomość prac specjalistów, którym w ich specjalności kompetencji odmówić niesposób — jak Sinko a ostatnio Barbasz. Tej literatury (której bezkrytycznie brać nie wolno, ale którą znać trzeba) p. Z. nie zna (zna natomiast... Weyssenhoffa i o obłąkanie przyprawić mogącą publicystykę „jubileuszową"), pisze też o Wyspiańskim zupełnie jak o przed trzystu laty na wyspach Fidżi zmarłym i przez siebie odkrytym pisarzu. Cofa to dyskusję na poziom — także z wysp Fidżi, czegoby się n. p. nie miało z oczytanym i dużą *sui generis* erudycją rozporządzającym Boyem (przypuściwszy, żeby ten stary wyga był tak niemądry, by się — jak o to go błaga p. Z. — do „odbronzowania" Wyspiańskiego zabierać). Sięga więc p. Z. w swej „jeszcze jednej odpowiedzi" w obronie Wernyhory, do arsenału dawno wystrzelanych pocisków, nie wiedząc, że ta cała heca: „Wernyhora jest ze Słowackiego", „nie, on jest z Matejki", „ależ nie, on jest z legendy" i t. d. — już się dawno rozegrała między mną a Sinką i innymi tej sprawy adwokatami. Nie ma pojęcia o t. zw. rewizjach Wyspiańskiego (termin pochodzi od Lacka, który pierwszy i najświetniej dotąd czem są zilustrował tak, jak to później zrobić mieli n. p. Kotowicz w odniesieniu do Wesela lub Sinko w stosunku do Grecji). Stoi jak ślepy już nie przed potęgą umysłu, który jednem spojrzeniem wszystkie dotychczasowe rozwiązania danego problemu ogarnia i przewartościowuje krytycznie, ale choćby przed ścisłością dokumentacji, która każdego, jaki się w tem dotąd na serjo rozejrzał, specjalistę przejmowała podziwem i stosuje do tego swoje „orjentacje" kawiarnianego dzikoluda a z tym rezultatem, że z chwilą gdy tylko wyjdzie poza frazesy i ogólniki — wywraca się jak długi na pierwszym lepszym konkretnym szczególe i krzyczy „terror". („Pogarda Wyspiańskiego dla realizmu" jest wynalazkiem, który p. Z. powinien opatentować).

Rewizje Wyspiańskiego, to ujęcie w każdym „motywie" — czy to będzie dzieło sztuki, czy inny produkt historji — całej tradycji, dla nadania temu motywowi kształtu całej prawdy, a w ten sposób by w nim wszystko, co przeszłość w tym kierunku zdziałała, pozostało. Tak jest z antykiem i średniowieczem, tak z Szekspirem i Mickiewiczem i całem naszem piśmiennictwem — i tak samo z Matejką. Że Wernyhora Wesela jest tym samym Wernyhorą, o którym nam opowiadały piastunki i że całą prawdę nietylko tej legendy, ale naszego przeznaczenia zawiera, to zrozumiałem jest, że przerasta pojęcie p. Z-go a może i innych poważniejszych od niego badaczy. O czem jednakże tamci wiedzą oddawna, to o ponad wszelką wątpliwość (przez Mączewskiego i Kotowicza, którzy obaj w nim zresztą dobrego ducha widzieli) ustalonem pochodzeniu jego ze Słowackiego[3]). To, co do Słowackiego. Co do Matejki, to otwarły mi się oczy na jego wielkość dopiero na obczyźnie, gdy na agonję francuskiego malarstwa patrzałem a dzięki jedynej dłuższej, jaką z Wyspiańskim miałem, rozmowie [4]) i zamało niestety, wiem o nim, by wiedzieć kiedy n. p. poznał przez Małeckiego w r. 1866 wydane Pisma pośmiertne lub w jakich znał tekstach proroctwo i t. p. Znam tylko obraz, w jego obu redakcjach. A na tych lirnik nie jest Wernyhorą *à l'eau de rose* Czajkowskiego i Siemieńskiego; jest Wernyhorą Słowackiego.

(C. d. n.) *A. Ł. C.*

---

[1]) Noc Listopadowa, fragmenty pośmiertne.

[2]) *W obronie tradycyjnej interpretacji „Wesela"* (styczeń 1933). Artykuł E. Kucharskiego (grudzień 1932, tamże), który dał asumpt do tego występu, omówiony był w „Zecie" w notatce p. t. Metody chochole (Nr. 23); o problemie Wernyhory — prócz książki — patrz N-ry 13, 16, 20, 21, 25, 26, 43, 44 i 54.

[3]) Scena przybycia „na Wesele" wyraźnie jest skomponowana jako kontynuacja — po latach — sceny pożegnania ze Snu srebrnego. Regimentarz zastąpiony Gospodarzem i t. d., przyczem tylko „chłopcy mali" widzą gościa takim, jakim go widział Słowacki; Gospodarz — jak inni po dziś dzień weselnicy — widzą go takim, jak w spreparowanej legendzie.

[4]) Porówn. Raptularz pod datą 17-go września 1904. W matejkowskim zeszycie „Sztuki Polskiej", o którym tam mowa, trzy pierwsze (barwne) wycinki z „Hołdu" wycięte zostały przez Stanisławskiego — i są mało warte. Czwarty — dwaj paziowie — jest wspaniałym samoistnym obrazem i wycięty został przez Wyspiańskiego. Rozmowa była demonstracją, jak do reprodukcji wybierać detale z matejkowskich obrazów.

KOLUMNA UKRAIŃSKA

Ukraina – zagadnienie międzynarodowe

Leon Wasilewski: Kwestja ukraińska jako zagadnienie międzynarodowe. Warszawa 1934. Str. 143.

Leon Wasilewski, autor wydanej w r. 1912 w Krakowie książki p. t. „Ukraina i sprawa ukraińska" jest wyjątkowym — na tle powszechnej ignorancji polskiego społeczeństwa w tej dziedzinie — znawcą problemu ukraińskiego, i to zarówno w jego przekroju historycznym, jak i aktualnie - politycznym. Nie jest to jednak typ speca-erudyty. L. Wasilewski oddał całe swe życie temu wielkiemu zagadnieniu, jakiem jest zorganizowanie zgodnego współżycia dwu słowiańskich narodów, których losy historja splotła ze sobą tak nieodwołalnie.

Czterdziestoletnia praca w tej dziedzinie dała autorowi znajomość przedmiotu rozległą i pogłębioną, oraz tę łatwość poruszania się na terenie zawiłej problematyki ukraińsko-polskiej i ukraińsko-rosyjskiej, łatwość, która zadziwia czytelnika, otwierając przed nim nowe aspekty i nowe horyzonty tej sprawy. Wnikając trafnie w poszczególne momenty zmiennych konjunktur i dziejowego falowania kwestji ukraińskiej, umie on jednocześnie podkreślać ich ciągłość, ich organiczne związki. ogarnia bowiem — z wysokiej perspektywy historycznej — całokształt procesu rozwojowego narodu, w jego przypływach i odpływach.

Już w książce „Ukraina i sprawa ukraińska" Wasilewski stanął na stanowisku bezwzględnej affirmacji ukraińskiego ideału niepodległościowego, widząc rozwiązanie trudnego problemu „stosunków wzajemnych Polaków i Ukraińców po obydwóch stronach kordonu" we wspólnocie ich dążeń niepodległościowych. Od r. 1918-go sytuacja zmieniła się o tyle, że Polska stała się wolnem państwem, a gros ziem ukraińskich dostało się z pod władzy caratu pod stokroć gorsze od niej jarzmo bolszewickiego regime'u. Ale pogląd Wasilewskiego w swym zasadniczym punkcie nie uległ zmianie; jego „ceterum censeo" jest w dalszym ciągu niepodległość Ukrainy. Zaś co do polityki polsko-ukraińskiej, to autor chciałby widzieć jej wytyczną w tej linji, jaką nakreśliło współdziałanie Polski z ukraińskim ruchem niepodległościowym w r. 1920; powstanie niepodległej Ukrainy, szukającej oparcia o Polskę, zdaje się być, w ujęciu Wasilewskiego, jedynem rozumnem wyjściem z labiryntu wzajemnych trudności, komplikacyj i nieporozumień.

W nowej swej książce p. t. „Kwestja ukraińska jako zagadnienie międzynarodowe", autor jest zresztą bardzo powściągliwy w wypowiadaniu sądów i konkluzyj. Ogranicza się on do objektywnego przedstawienia strony faktycznej zagadnienia. Książka ta jest właściwie obszernem, rzeczowo udokumentowanem studjum historycznem, którego ambicją jest ogarnięcie, uporządkowanie i powiązanie bogatego materjału faktów, oraz zreferowanie go w ten sposób, by czytelnik zdał sobie sprawę z naglącej ważności problemu. To ostatnie udaje mu się osiągnąć. Czytelnicy jego książki, ci nawet, którzy dotąd odnosili się sceptycznie do kwestji ukraińskiej wogóle, nie wierząc ani w samoistną odrębność narodową Ukrainy (jest takich wielu!), ani w samorodny, żywiołowy ruch wyzwoleńczy wśród tego narodu, zniewoleni są uznać jedno i drugie. Zastrzeżenia jednak co do drugiego punktu pozostaną i nadal, sceptycy będą się bowiem powoływać na własne słowa Wasilewskiego, który stwierdza niejednokrotnie, że podczas wojny światowej sama konieczność historyczna pchała Ukrainę „automatycznie" do usamodzielnienia się, zaś wyjątkowo pomyślna konjunktura polityczna „wypchnęła, jeśli się tak można wyrazić, kwestję ukraińską na arenę międzynarodową" (str. 112).

Tu właśnie jest ten punkt zaczepienia dla pewnego historjo - krytycyzmu (że użyję tu tego terminu) w stosunku do problemu *dojrzałości państwowo - twórczej* narodu ukraińskiego. Społeczeństwo ukraińskie jest tak drażliwe w tej materji (czemu się zresztą trudno dziwić), że każdy odruch wątpliwości w tym względzie gotowe poczytać za obrazę. A jednak każdy ruch niepodległościowy *serjo*, winien połączyć w sobie idealizm, rzekłbym: porywczy romantyzm walki o dalekie cele, i realizm, polegający przedewszystkiem na umiejętności obliczania się z własnemi swemi warunkami wewnętrznemi. Górnolotna architektonika śmiałych planów wali się zawsze, jeśli się jej nie oprze o fundament *samowiedzy*, w danym wypadku dojrzałej samowiedzy narodowej. Toteż właśnie w tej niewspółmierności między aktualnością sprawy ukraińskiej na terenie międzynarodowym a jej nieaktualnością (jeszcze) wewnątrz samego narodu ukraińskiego, leży— zdaniem mojem — wielkie niebezpieczeństwo historyczne, zagrażające Ukrainie. Zgodziłbym się tu z R. Dmowskim co do jego oceny możliwości państwowotwórczych „wielkiej Ukrainy", nie wychodzi bowiem żadnemu narodowi na dobre opieka „międzynarodowego komiwojażera". Zbyt wiele potęg i interesów wypycha tę sprawę na wierzch, zbyt wiele sił pragnie ją zawczasu uczynić domeną swoich wpływów, lub wygrywać ją jako atut w grze własnej, zbyt wiele wreszcie obiecują sobie sami Ukraińcy po tej opiece i po całym, tak dziś u nich modnym „sojuszu z Zachodem", by moc samotwórcza Ukrainy, jej świadome „Ja" narodowe mogło na sobie to niewygodne brzemię udźwignąć. Wprzód trzeba ustalić się i rozróść wewnętrznie jako *podmiot*, inaczej bowiem łatwo przemienić się w przedmiot, nawet we własnem, niepodległem państwie, noszącem nominalną nazwę Ukrainy.

Czy naród ukraiński był tym *podmiotem* siebie świadomym, w chwili owej „wyjątkowo pomyślnej konjunktury"? Niestety nie. Potwierdza tę negatywną ocenę samo doświadczenie niedawnych wydarzeń. Nie będę wskazywał na spór orjentacyj, bo orjentacje były i u nas, choć naród polski był — ze względu na samowiedzę i prężność kulturalną — podmiotem do niepodległości dojrzałym. Ale przecież pisze sam Wasilewski, że inteligencja była w większości swej zrusyfikowana, że „miasta z ich rosyjsko - żydowską ludnością były wrogo usposobione wobec Ukraińców. W klasie robotniczej ruch ukraiński nie miał poważnego poparcia, bo tu robotnicy należeli przeważnie do partyj żydowsko-rosyjskich. Chłopom chodziło przedewszystkiem o ziemię, którą zagarniali, nie czekając"... i t. d. (str. 115). Był więc ruch ukraiński w rozpaczliwem położeniu, jeśli chodzi o jego poparcie we własnym narodzie. A jeśli hetman Skoropadski był istotnie rusofilem, idącym na rękę dążnościom „reakcji" do odbudowania „jednej niepodzielnej", jak to stwierdza autor (zgodny w tem zdaje się z większością opinji ukraińskiej[1])), dowodzi to jeszcze dobitniej słabego przygotowania narodowo uświadomionej części narodu ukraińskiego do stworzenia własnego państwa, nawet w warunkach jeszcze bardziej sprzyjających, niż te, które były.

Toteż można się zgodzić z L. Wasilewskim, gdy pisze, że Ukraina czasu wojny światowej „pomimo istnienia pełnego kompletu warunków *objektywnych* niepodległości — nie stanęła w szeregu państw suwerennych" (str. 142). Jednakże prócz objektywnych nieodzowne tu są również warunki *subjektywne*, t. j. wykształcona, gotowa do pełni funkcyj twórczych podmiotowość narodowa. Tej nie było, co autor zdaje się przeoczać, biorąc pod uwagę tylko: 1) warunki objektywne. 2) konjunkturę historyczną.

Pisze Wasilewski: „Polityka narodów niepaństwowych polega właśnie na umiejętnem wyzyskaniu dla własnych celów wyzwoleńczych konjunktury danego momentu historycznego, stworzonej przez zespół czynników, od woli tych narodów niezależnej". Zapomina jednak dodać, że musi w tych narodach być „ktoś", jakaś energja świadoma, czynna i twórcza, zdolna do podjęcia rozległej a skoordynowanej akcji, mającej właśnie na celu wyzyskanie tej konjunktury; może nią być albo jednostka genjalna, na której pojawienie się liczyć trudno (spiritus flat ubi vult), albo, co ważniejsza, *elita inteligencka, będąca czynnym podmiotem twórczości kulturalnej i samowiedzy narodowej.*

Ponieważ autor twierdzi, że naród może istnieć tylko jako państwo, bo bez organizacji państwowej, popada w zastój dziejowy i traci swą elitę na rzecz narodów innych, panujących, problemat ten zdaje się być błędnem kołem. Ale autor i tu się myli. Twórczość duchowa jest zawsze samorzutną i w najcięższych nawet warunkach obumrzeć nie może, jeśli podmiotem jej jest naród żywy, już w sobie skrystalizowany (dowodem potężny rozwój polskiego genjuszu narodowego właśnie w dobie klęski, na paryskiem wygnaniu). Kryterjum posiadania własnej elity inteligenckiej, zdolnej do pełnienia funkcyj państwowotwórczych, t. j. kryterjum dojrzałości narodu do niepodległego bytu, jest *zdolność do produkowania kultury i to we własnym języku, podatnym do wyrażenia myśli w formach najbardziej oderwanych* (1-szy stopień: język poetycki, 2-gi stopień: język naukowy, 3-ci najwyższy stopień: język filozoficzny). Odrębny język wyznacza powstanie odrębnego narodu, jako *rzeczywistości etnograficznej*; zaś odrębny język ukształcony do tworzenia wszystkich form nowoczesnej kultury wyznacza zdolność narodu do czynności państwowotwórczych, jego *rzeczywistość polityczną*. Dlatego to historja poucza nas, że narody powstają wraz z językami, a państwa wraz z odrębnemi kulturami narodowemi; dlatego to mógł powiedzieć Hruszewski: „Językowi (ludowemu, przyswojonemu przez twórczość literacką — *przyp. mój)* zawdzięcza Ukraina to, że ukrainofilstwo nie skończyło się na gromadzeniu płodów twórczości ludowej, układaniu gramatyk i słowników, lecz przekształciło się na prawdziwe odrodzenie narodowe": dlatego to rządy państw uciskających tak pilnie ograniczają rozwój języka, zwłaszcza literackiego, narodów ujarzmionych.

Otóż naród ukraiński — wzięty jako całość etnograficzna — znajduje się obecnie w stadjum pierwszem i zaczyna dopiero przechodzić zwolna w stadjum drugie. Obecnie też największą jego tragedją dziejową jest — mojem zdaniem — proces świadomego niszczenia zaledwie uformowanych podstaw twórczości kulturalnej, odbywający się na Ukrainie sowieckiej. Że jednakowoż posiadanie własnego państwa nie jest warunkiem nieodzownym produkowania kultury przez naród, dowodzi fakt rodzenia się w ramach państwowości polskiej, samorzutnej i dość już bogatej twórczości kulturalnej wśród Ukraińców w Małopolsce Wschodniej. Tu właśnie, w płaszczyźnie tworzenia kultury — a nie w płaszczyźnie walki podziemnej i teroru — poznaje się i zatwierdza świadomy, wrastający w pełnię nowoczesnych form życia społecznego, podmiot narodowy. Widać z tego, że i w takich warunkach politycznych niekoniecznie musi nastąpić „zanik... warstw kierowniczych i oświeconych, będących rozsadnikami tradycyj historycznych i kulturalnych oraz reprezentantami własnej cywilizacji i świadomości narodowej".

L. Wasilewski dzieli swą książkę na cztery części, podług czterech kolejnych faz powstawania problemu ukraińskiego, oraz jego występowania na arenę międzynarodową. Faza pierwsza (od utworzenia się państwa kijowskiego aż do jego upadku pod naporem Tatarów) trwa od IX-go do połowy XIV-go stulecia. Faza druga (życie polityczne Rusi Południ. w obrębie Litwy i Polski, a potem państwa polsko - litewskiego, poprzez wojny kozackie, aż do podziału między Moskwę i Polskę i utraty odrębnego oblicza polityczno - kulturalnego) obejmuje okres od XV-go do początków XVIII-go wieku. Faza 3-cia (kwestja ukraińska jako przedmiot polityki szeregu państw, przedewszystkiem Austrji, Rosji i Niemiec) zaczyna się z końcem wieku XVIII-go a wypełnia wiek XIX-ty. Czwarta faza (ruch odrodzeńczy i próba wyzyskania konjunktur międzynarodowych) obejmuje pierwsze dziesięciolecia w. XX-go.

Autor porusza również ciekawy problem trudności, jakie ma do pokonania naród niepaństwowy w informowaniu o sobie innych narodów i w zwalczaniu opinij urabianych przez narody, które nad nim panują.

Niezmiernie interesującą jest sprawa ruchu wszechsłowiańskiego na Ukrainie, przeradzającego się niekiedy w prawdziwy mesjanizm słowiański (bractwo Cyrylo-Metodyjskie, Szewczenko); tu należą koncepcje rozwiązania kwestji ukraińskiej w ramach federacji wszystkich narodów słowiańskich. Dziedzina ta zasługuje na odrębne opracowanie w obszernem studjum.

j. b.

[1]) Patrz polemika w tej sprawie w kilku ostatnich numerach „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego", specjalnie ciekawy artykuł Iwana Kedryna.

Szewczenko i Polacy

Paweł Zajcew: Szewczenko i Polacy. Warszawa 1934. Nakładem „Biuletynu Polsko - Ukraińskiego". Str. 83.

Niewielkie, wydane jako odbitka z Biuletynu Polsko - Ukraińskiego, studjum Zajcewa ukazało się na rynku księgarskim w chwili wyjątkowo dla jego popularyzacji wśród szerszych rzesz polskich — odpowiedniej. Monumentalne wydanie Dzieł Wszystkich Szewczenki odbiło się dość szerokiem echem wśród pism, które coraz częściej poświęcają szpalty rozważaniom na tematy ukraińskie.

Autor nic nie przesadził twierdząc, że podczas gdy uczeni ukraińscy „zgromadzili olbrzymie materjały i wydali setki poważnych i interesujących studjów o Szewczence", Polacy nie zainteresowali się nigdy dogłębniej—poza nielicznemi jednostkami — twórczością poety, mimo że był on związany węzłami pokrewieństwa duchowego z wielu Polakami, walczącymi o wolność narodu i ludu polskiego w pierwszem 50-leciu XIX-go wieku.

Paweł Zajcew, znany ukraiński historyk literatury, opracowujący obecnie obszerną monografję poety, w książce niniejszej daje tylko zwięzły przegląd stosunków Szewczenki z Polakami i wpływów, jakie na jego działalność poetycką i społeczną wywarły przedewszystkiem pisma Mickiewicza i publicystyka wolnościowo - rewolucyjna polskich emigrantów z Paryża.

Wpływ Mickiewicza szerokim zasięgiem ogarnął nietylko Szewczenkę, ale i innych ówczesnych literatów ukraińskich. Najbardziej interesującym dla nas dokumentem tych wpływów (zresztą w tym wypadku głównie formalnych), są „Księgi Narodu Ukraińskiego" Kostomarowa, w których autor wykłada swe historjozoficzne poglądy na rolę Ukrainy, jako budzicielki Słowiańszczyzny. „I wstanie Ukraina z grobu i odezwie się do braci swoich Słowian". Powstanie pod wpływem jej wołania wielka federacja narodów słowiańskich. „Ukraina będzie niezależną Rzeczpospolitą i wówczas wszystkie narody, wskazując na to miejsce, gdzie na mapie będzie Ukraina, rzekną: Oto jest kamień, którym poniewierali budowniczowie: ten został kamieniem węgielnym". Jak widzimy z cytatu, ówczesna historja ukraińska (nie wyłączając koncepcyj Szewczenki) była typowo posłanniczą, mesjaniczną[1]).

Zapoznał się też Szewczenko z poezjami Krasińskiego, z których „szczególnie Przedświt przyczynił się do genezy pewnych utworów Szewczenki o treści socjalno-politycznej".

I jeszcze jedno zetknięcie się wieszcza Ukrainy z wielkim duchem Polski:

Na wygnaniu w Orenburgu, gdy już zostali zwolnieni wszyscy Polacy, z którymi blisko współżył (specjalnie Bronisław Zaleski), ostatni z nich, Przewłocki, wyjeżdżając, zostawił mu pracę Libelta o estetyce p.t. „Umnictwo piękne". Oto, co pisze o tem Zajcew: „Książkę Przewłockiego wręczono mu z opóźnieniem, ale w porę: w stałem naprężonem oczekiwaniu wolności (otrzymał już amnestję, ale nie miał jeszcze pozwolenia na wyjazd—przyp. nasz) chętnie wypełniał czas tą lekturą, i ciekawe jego uwagi krytyczne nad tą teorją estetyki i twórczości polskiego filozofa są bardzo zajmującym przyczynkiem tak dla charakterystyki poglądów na teorję sztuki samego Szewczenki, jak i dla oceny naukowej dzieła teoretyka — uczonego.

Znaczenie tego poety - chłopa, genjalnego twórcy i inspiratora ruchów wolnościowych na Ukrainie, jest równie wielkie dla owej epoki, jak wielkiem było dla nas znaczenie „trójcy wieszczej". I rozmiary tego kultu nie przerosły zapewne — wbrew twierdzeniom Zajcewa — kultu Mickiewicza w okresie niewoli. A że niema „wśród postaci historycznych Ukrainy innej, którąby tak mało znali i tak źle rozumieli obcy" — dziwić się nie należy. Czyż byli np. bliscy kiedykolwiek Francuzom czy Anglikom genjusze tej miary, co Słowacki, Wyspiański, czy nawet Mickiewicz? Wiadomo, że nie. Dlatego tylko, że byli genjuszami narodowymi in stricto sensu.

Janusz Łoziński.

[1]) Byłoby rzeczą porządaną zestawić kiedyś w obszernem studjum porównawczem ówczesne słowiańskie (i nie słowiańskie) poglądy na posłannictwo narodów, wyznaczyć ściśle ich źródła i filjacje.

[2]) Słusznie dodaje tu Zajcew, że „Studjum o tem byłoby b. wskazanem ze względu na osoby — czytelnika i autora".

J. MAŁANIUK

Znowu ścielesz stepowy kilim...

...słońce zaćmiewa chmura
nienawiści... owce i gołębie nawet
zaczynają szczerzyć zęby...
List z Ukrainy XII. 1931 r.

Znowu ścielesz stepowy kilim
pod kopyta, arby i jurty.
Znów źrenice dymem okryli,
krew tatarskim wzburzyli nurtem.

Jak i ongiś. Batyj? Timurze?...
— Całuj, całuj rąbek tej szaty,
nie ocalisz w sofijskim klasztorze
ślepych stepów ni marnej chaty.

Nie żałował nam czasu Chrystus:
Siedem wieków trwa epopeja.
Taszłyki oto kamieniste
i rybackie to bałakleje.

Bystry wir wśród fal Karharłyku
sennie toczy wody Syniucha.
I ten sam jęk, w tym samym krzyku
ból się wznosi tępy i głuchy.

Słońce chmura gniewu zaćmiewa,
szczerzą zęby jagnięta milcząc,
a porosłaś burzanem, kostrzewą,
zamiast chałup, masz jamy wilcze.

Nie zapomni buntów gromada,
nie zelżały obrzękłe żyły.
ciężkiej krwi waszej, soku nomadów
jeszcze ostre klingi nie piły.

I swobody brzeszczot nie brzęka...
Idziesz chyłkiem poprzez stulecia
i — jak kamień — ciąży ci dziecię:
w łonie dzikiem mongolski bękart...

Bezduszna głuchość...

Bezduszna głuchość, otępienie
spadły na ziemię. Więdną kwiaty.
Łan czeka na śniegowe płaty.
Chmury nawisły, jak kamienie.

Bywa, że wicher skoczy w jarze,
pyłu tumanem świat owieje.
Sioło w dolinie oniemieje
w chmielnym niezdrowych snów oparze.

Gasły światełka. Zamykano
przed mrozem drzwi. Psy wierne siedzą
w słomie po uszy zagrzebane.
Siła nieczysta błądzi miedzą.

A ścieżynami pod płotami
głód idzie — siół doroczny gość.
W paluchach trzyma chłopską kość
i groźnie błyska źrenicami...

Spolszczył:
J. Czechowicz.

O. OLŻYCZ

Wizja

Wiatry od kresu do kresu
od świtu do świtu dmą,
piasek i drzazgi niosą,
drzewa i dachy rwą.

W podwórkach koce, tłomoki.
— Czybyś tę drogę już znał?
Szerokopierśne rumaki
ze stajen ruszają wcwał.

Na ganek matka wychodzi.
Zdążyłeś popręgi spiąć.
Pod brezent chowa się młodzik,
którego nie chciano wziąć.

Kołacze furtka, kołacze
w ogródku, gdzie butów ślad.
Skrzypią tabory, płaczą
na wschód, na zachód, w świat.

Modlitwa poranna

Proszę — nie o świetliste mżenie
w które nurt wiedzy mej wypłynął,
nie chcę złotego natchnień kwiatu,
lecz w łaskawości swej niezmiernej
modlę się — daj mi dar mizerny,
zwól bym w Jej imię męki przeniósł
i w groźnym dniu zapłaty zginął
w żołnierskim płaszczu — od granatu...

Spolszczył:
H. Zasławski.

M. KOCIUBYŃSKI

Dzieci gór

Fragment z powieści p. t. „Cienie zapomnianych przodków"

Wracali już z cerkwi, a tato był trochę podpity. Nagle, na wąskiej perci między skałą a Czeremoszem powstał ścisk. Wozy, pieszo wędrujący mężczyźni i kobiety, jeźdźcy zatrzymali się, zbijając się w gromadę. W gniewnym hałasie, który jak wichr wzbił się znienacka, niewiedzieć skąd, błysły żelazne ciupagi, zaskakały przed samemi twarzami. Niby krzemień i krzesiwo uderzyły na siebie rody Guteniuków i Palijczuków, a zanim jeszcze Iwan zdołał wyrozumieć o co im poszło, tato śmignął siekierką, uderzając kogoś obuchem w czoło, skąd bryznęła krew, oblała twarz, koszulę i śliczny keptar. Jęknęła czeladź, rzucono się, by ich rozdzielić, ale już człowiek z twarzą czerwoną jak jego portki ciął ciupagą wroga w głowę. I pochylił się tato Iwana, jak smrek podcięty. Iwan rzucił się do bójki. Nie pamiętał co robi — coś go poderwało. Ale dorośli podeptali mu nogi i nie mógł się docisnąć do miejsca bitki. Wciąż jeszcze rozpalony, rozjuszony gniewem wpadł z rozpędu na małą dziewczynkę, która trzęsła się ze strachu, stojąc obok wozu. Aha! To pewno dziewczyna Guteniuków! I nie myśląc wiele uderzył ją w twarz. Skrzywiła się, koszulę na piersi rękami ogarnęła i zaczęła uciekać. Dopadł jej Iwan nad rzeką, szarpnął za oszewkę koszuliny, rozdarł. Upadły na ziemię nowiutkie wstążki, a dziewczynka z krzykiem rzuciła się, by je pozbierać. Lecz on wyrwał jej wstążki i na wodę rzucił. Wtedy dziewczynka, wciąż jeszcze nachylona, spojrzała nań spodełba głębokiem wejrzeniem czarnych, matowych oczu i rzekła:

— To nic, mam inne... nawet ładniejsze...

Jakgdyby go pocieszała. Zdziwiony jej łagodnym tonem chłopiec milczał.

— Matula kupili mi nową zapaskę... i kerpce... i haftowane czepeczki... i ...

Wciąż jeszcze nie wiedział co rzec.

— Obuję się, jak się patrzy, będę jak panna...

Wtedy wstała w nim zazdrość:

— A ja już umiem grać w kiczki...

— Nasz Fedor zrobił sobie fujarę, taką, że to no! A kiedy zagra...

Iwan odął się.

— A ja już Licho widziałem.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Ale dlaczego się bijesz?

— A dlaczegoś koło wozu stała?

Pomyślała chwilę nie wiedząc co odpowiedzieć i zaczęła szukać czegoś za pazuchą. Wreszcie wyciągnęła długi cukierek.

— Niechta!

Odgryzła połowę, a drugą podała mu pełnym zaufania gestem.

— Na!

Zawahał się, ale wziął.

Teraz już siedzieli obok siebie zapomniawszy o rozgwarze bójki, o gniewnym szumie rzeki. Opowiedziała mu, że się nazywa Marusia, że pasie już jagnięta, że jakaś Marcinowa —ślepa na jedno oko— ukradła u nich mąkę... i wiele innych rzeczy, ciekawych a bliskich obojgu. Spojrzenie jej czarnych, matowych oczu zapadło cicho w serce Iwana.

Oto znów zatrąbiła trombita o śmierci w samotnej chacie na wysokich łysogórach: nazajutrz po bójce zmarł stary Palijczuk. Ciężkie dni nastały po śmierci gazdy w rodzinie Iwana. Zagnieździł się nieład, spadały niedole. Sprzedawano pasterskie polanki jedną po drugiej, a gadzina ginęła gdzieś, niby śnieg na górach z wiosną.

Ale w pamięci Iwana śmierć taty nie tkwiła tak długo, jak znajomość z dzieweczką, która niewinnie krzywdy od niego doznawszy, z taką ufnością podała mu pół cukierka. Do jego dawnych smutków bez przyczyny wlał się nowy strumyk. Mimowoli ciągnęło go w góry, nosiło po sąsiednich łysicach, lasach, i dolinach, w których mogła być Marusia. I wreszcie spotkał ją: pasła jagnięta.

Przywitała go jak dawno spodziewanego — będzie z nią pasł owieczki. Pewno, że tak! Niechże krasula i siwocha dzwonią dzwonkami, niech porykują w lesie, a on będzie pasł jej jagniątka. Ale bogać tam oni paśli!

Białe owce, zebrawszy się pod smrekami w cieniu patrzyły głupim wzrokiem jak dzwoniące w ciszy młodym śmiechem, dzieci tarzały się po mchach. Zmęczone wdrapywały się na białe skały i lękliwie zaglądały stamtąd w przepaść, z której stromo wznosiło się ku niebu czarne widmo góry i skąd chłód dyszał, nieginący w słońcu. W szczelinie między górami potok spadał w dolinę i trząsł po kamieniach siwą brodą. W odwiecznej ciszy, której strzegł bór było tak ciepło, tak samotnie, że dzieci słyszały własny oddech.

Ucho łowiło jednak uparcie każdy pogłos, który musi żyć w boru i wyolbrzymiało go do największych rozmiarów. Chwilami zdawało się im, że słyszą czyjeś kroki tajemnicze, głuche uderzenia obucha i westchnienie zmęczonej piersi.

— Słyszysz Iwa? — Szeptała Marusia.

— Co nie mam słyszeć? Słyszę.

Oboje wiedzieli, że to błądzi po lesie niewidzialna siekiera, w drzewa uderza i wzdycha piersią znużoną.

Strach przeganiał ich stąd w dolinę, gdzie potok płynął spokojniej. Robili sobie kąpielisko w strumieniu, w głębokiem miejscu. Rozdziewali się i pluskali w nim, jak dwoje leśnych stworzeń, które nie wiedzą co to wstyd. Słońce kładło się na ich jasne włosy, biło w oczy, a lodowata woda potoku szczypała ciało.

Marusię pierwszą przejmował ziąb i zaczynała biegać.

— Stój — wołał za nią Iwan — a skądeś ty?

— Z Ja-wor-ro-wa — szczękała zębami siniejąca Marusia.

— A czyjaś ty?

— Kowalowa.

— Bywaj zdrowa, kowalowa! — szczypał ją Iwan i gonił, póki zmęczeni, ale rozgrzani na trawę nie padli. W cichym nurcie rzeczułki, nad którym płonął kwiatem słonecznym dziewięciornik i błękitniały pęki pantofelków „Tabusztanu", żałośnie kumkały żaby. Iwan pochylał się nad potokiem i pytał żaby:

— Kumo, kumo, coś gotowała?

— Burrak, barszcz. Burrak, barszcz. Burrak, barszcz — rehotała Marusia.

— Buraki-ki-ki! Buraki - ki-ki! Buraki-ki-ki! — wrzeszczeli oboje, zamknąwszy oczy. Żaby ze zdumienia milkły.

Pasąc tak, nieraz owce pogubili.

Z uraińskiego spolszczył

J. Czechowicz.

Kronika ukraińska

Ukazał się 26-ty zeszyt Ukraińskiej Encyklopedji wydawanej pod redakcją Iwana Rakowśkiego, w nakładzie „Ridnej szkoły". Zeszyt ten zawiera wykład słowa: Ukraina, w szeregu rozdziałów zatytułowanych: Historja, Walki o wolność 1917 — 1923, Polityczna emigracja, Ukraina Sowiecka.

Ukraiński Instytut Naukowy przystąpił do druku pierwszego zupełnego wydania dzieł Tarasa Szewczenki. Wydanie to obejmować będzie 16 tomów następującej treści: Tom I-szy — życiorys literacki Szewczenki pióra Pawła Zajcewa, tom II-gi utwory poetyckie do r. 1843, tom III-ci poezje od r. 1843 — 1847, tom IV od r. 1847 — 1857, tom V-ty od r. 1857 — 1861. Tom VI-ty obejmuje utwory pomnicjsze i „Nazar Stodola". Tomy te zredaguje Paweł Zajcew. Następne trzy tomy zawierać będą szereg powieści, jak: Artysta, Najmitka, Warnak, Księżna, Muzyka, Nieszczęsny, Kapitanowa, Bliźnięta, Spacer. Tom X zawierający dziennik Szewczenki opracuje L. Bilecki, zaś tom XI, w którym pomieszczą się listy poety opracują P. Zajcew i E. Małaniuk. Tom XII obejmie działalność Szewczenki jako malarza i pomieści w sobie liczne reprodukcje obrazów i rysunków. Katalog utworów malarskich opatrzy wstępem D. Antonowicz. Następne tomy poświęcone będą badaniom nad życiem i działalnością literacką poety, oraz nad zasięgiem jego utworów wśród obcych. I tak w tomie XIII-ym P. Zajcew opracuje zagadnienie „Szewczenko a Polacy", zaś w tomach XIV i XV prof. B. Łebkyj i prof. R. Smal-Stocki zajmą się przekładami Szewczenki na język polski. Wreszcie w tomie XVI-ym W. Doroszenko poda bibljografję dzieł Szewczenki i prac o nim. Całość ma się ukazać do marca r. 1936, gdyż wówczas upływa 75 lat od chwili zgonu poety.

Pod tytułem „Ruina Europy a Ukraina" wydał W. Bose swą pracę w Montrealu (Kanada), nakładem „Katołyćkiej Ukrainy". „Biul. Polsko-Ukraiński" tak pisze o tej książce: „Autor, zwolennik W. Lipińskiego, omawia rolę Ukrainy wobec sprzecznych sił współczesności, jak komunizm, faszyzm i demokracja. Konflikt pomiędzy temi siłami zdaje się być nieunikniony, a wtedy Ukraina — katolicka „monarchja pracy" ma odegrać wielką rolę w uporządkowaniu Wschodu Europy".

Studjum o filozofji H. Skoworody wydał nakł. Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie Dmytro Czyżewśkyj. W przeciwieństwie do większości dotychczasowych opracowań życia i działalności ukraińskiego filozofa (a istnieje tych prac około 250), Czyżewśkyj pominął w swem studjum element biograficzny, a całkowitą uwagę skierował na analizę jego myśli filozoficznej. Analiza ta doprowadziła go do źródła koncepcyj światopoglądowych Skoworody, t. j. do mistyki niemieckiej. Są też pewne konneksje z J. J. Rousseau, z którym jakoby zetknął się ukraiński filozof osobiście. Czyżewśkyj w monografji swej poświęca też jeden rozdział analizie poezyj Skoworody.

Ukraińcy na Dalekim Wschodzie rozwijają żywą działalność. W Charbinie wychodzi od 2 lat ich pismo, noszące tytuł „Mandżurśkyj Wistnyk", obecnie zaś ma się ukazać miesięcznik „Watra", poświęcony ukraińskiej myśli nacjonalistyczno-państwowej. Jeden z tamtejszych działaczy, I. W. Swita wydał książkę przedstawiającą życie Ukraińców na emigracji. Nosi ona tytuł: „Ukraiński Daleki Wschód".

Prasa ukraińska

My (Lato 1934). Przedmowa patetyczna.— J. Jaryj-Dryhynycz: XX stulecie.— J. Kosacz: Wieczór u Rozumowskiego. — N. Liwyćka-Chołodna: Poezje. — A. Kryżaniwśkyj: Oczy w trumnie. — S. Hordyńśkyj: Poezje. — Przekłady z hiszpańskiego i francuskiego. — S. Dołęga: Urywki z dziennika. — J. Kosacz: Poezje. — H. Łazarewśkyj: Wrażenia i spotkania. — M. Rudnyćkyj: Męczennik niesprzymierzonych ideałów (Obszerne i naogół ciekawe studjum o St. Brzozowskim. Ze zdziwieniem czytamy wyjaśnienia autora, dlaczego Słowiańszczyzna... nie wydała ani jednego filozofa!). — Obfity dział recenzyj, m. in. z książki D. Czyżewśkiego o filozofji szlachetnego myśliciela ruskiego H. Skoworody. — Korespondencja z czytelnikami.

Wistnyk Nr. 10. J. Małaniuk: Poezje. — U. Samczuk: Żart życia. — P. Dominik: Na rozkaz. — J. Łypa: Chłopski król. — D. Łukijanowycz: Natalja Ozarkewych-Kobryńśka. — M. Hocza: Uniwersalizm (Mowa tu raczej o kosmopolityzmie). — B. Crémieux: Sztuka a demokracja. — O. Dumin: O ukr. formacjach wojskowych. — M. Korduba: O Szewczence. — D. Doncow: Kropka nad i. (Gorący protest przeciw przyjęciu Z. S. S. R. do Ligi Narodów). Przegląd prasy, bibljografja.

„Pan Tadeusz" po ukraińsku

Stulecie „Pana Tadeusza" uczczono w Polsce wydaniem kilku prac z których najcenniejszą jest monografja prof. Stan. Pigonia, a najgorszą „popularne" wydanie poematu przez wyd. „Republika" (Łódź) w niemożliwej, nawet dla najpopularniejszego wydania — szacie zewnętrznej.

Równocześnie ukazał się we Francji staranny i zupełnie poprawny przekład poematu prozą pióra Pawła Cazin, zaś Ukraiński Instytut Naukowy w Warszawie wydał powtórnie piękny przekład „Pana Tadeusza" opracowany przez Maksyma Rylskiego.

Dzieje pierwszego wydania tego przekładu są następujące: „Pan Tadeusz" ukazał się wówczas (w r. 1927) nakładem spółdzielczego wydawnictwa „Słowo" w Kijowie. Przedmowę napisał Rylski, omawiając w niej — prawdopodobnie ze względów cenzuralnych — jedynie walory artystyczne poematu. Wydanie to nie jest dziś już— z wielu przyczyn — dostępne dla ogółu czytających.

W wydaniu drugiem tekst w przekładzie Rylskiego pozostawiono bez zmiany, także zachowano kilkunasto-stronicowe komentarze na końcu książki. Natomiast dawną przedmowę Rylskiego zastąpiono krótkiem studjum pióra prof. R. Smal-Stockiego, podkreślającego w poemacie mickiewiczowskim cechy bliskie dzisiejszej emigracji ukraińskiej.

J. Ł.

Symultaneizm — nowy styl?

Prądy literackie powstają w dwojaki sposób: 1) albo pisarz, czy pewna grupa, wychodząc z założeń przeważnie reformatorskich, budują stosownie do jakiegoś ogólnego hasła — pewien artystyczny program, a następnie próbują go dopiero realizować w sztuce, albo 2) nowy kierunek powstaje samorzutnie, bez stawiania z góry programu, w wyniku ogólnych i powszechnych przemian kulturalnych i dopiero jako zjawisko artystyczne już istniejące, zostanie sklasyfikowany przez krytykę; *świadomość* czegoś nowego powstanie więc później.

Trudno przesądzać, który „sposób" jest lepszy. Oczywistem jest, że w obu wypadkach przemiany takie są wykładnikiem zmian ogólno-kulturalnych, tyle że w wypadku pierwszym mamy do czynienia ze sposobem logiczno-rozumowym, w dugim z artystyczno-intuicyjnym.

Przypuszczać jedynie można, że programy artystyczne z góry ustalane (zwłaszcza grupowe) w realizacji będące przymusem krępującym pojedyńcze indywidualności, albo znacznie różnić się będą w rezultacie od pierwowzoru, albo będą zbyt wymuszone. Naturalniejszym sposobem powstania jest tryb drugi, przy którym *doświadczenie* praktyczne wyprzedza *teorję*, pozwalając lepiej ocenić możliwości.

Nie mam pretensji, ażeby pewne wartości formalne mej prozy uważać za nowy prąd literacki, chciałbym tylko rozważyć pewne zjawisko, które ujawniło się w mej powieści: Wygnańcy Ewy.

L. Pomirowski analizując ten utwór, określił formę jego jako *symultaneizm* [1]. Termin ten w odniesieniu do mej powieści był dla mnie nowy. Był pożytecznym uświadomieniem i skonkretyzowaniem wyników mej pracy. Rozważywszy konstrukcję powieści, doszedłem do przekonania, że określenie jest trafne, a że klasyfikacja i metoda w pracy artystycznej są ważne, uznać musiałem sam fakt nazwania stylu — za pożyteczny, ile że zastanawiając się dalej nad tem określeniem, musiałem zapytać, czy symultaneizm jest istotnie pewną konkretną formą stylu prozaicznego, pewnym typem. Próbowałem więc zastosować go w noweli i w feljetonie. Mogę powiedzieć, że byłem w rezultacie zadowolony a zarazem upewniłem się, że symultaneizm jest istotnie stylem i że przynosi jako zasada estetyczna — szereg ważnych konsekwencji.

Nie umiem oczywiście orzec, o ile symultaneizm jako prąd literacki może być zasadą ogólną, powszechną, w jakim stopniu może być przyswojony przez innych pisarzy; może to być ostatecznie bardzo indywidualne upodobanie, moje własne, nie mogące liczyć na rozpowszechnienie.

Niezależnie od tego chciałbym tu utrwalić kilka spostrzeżeń i uwag, być może dla spopularyzowania symultaneizmu.

Określenie istoty — jest trudne, ponieważ symultaneizm nie jest w sztuce pojęciem nowem i posiada już swe formy historyczne, pozatem ukazując się i w teatrze i w sztuce pisarskiej — rzecz prosta, wykazuje pewne odmiany.

Podstawą pojęcia symultaneizmu w sztuce jest średniowieczne misterjum [2].

Dla przedstawienia historji męki Pańskiej czy innego wątku ewangelicznego ustawiano kilka równorzędnych scen, obok siebie — w obrębie których akcja przenosiła się z miejsca na miejsce na oczach widzów.

Ten sposób inscenizacji odżył współcześnie, że przypomnę tu choćby teatr Piscatora, który budował na scenie przekrój domu, ukazując widowni kilka odsłoniętych poziomów, na których odbywała się akcja, przenosząca się z miejsca na miejsce. Mam wrażenie, że próby te w średniowieczu, nie były bynajmniej wynikiem ograniczenia środków technicznych, bo wiemy, że środki te były w misterjach dość bogate. Sądzić można, że realizowała się tu pewna zasada artystyczna, pewien *styl*. Współczesne próby symultaneizmu teatralnego, czynione były głównie w imię konieczności szybkich przemian, w imię zasady, że tak powiem: kinematografizmu, a więc zaskoczenia widza szybkim filmem zmieniających się obrazów. Wynikł symultaneizm współczesny także, jako konieczność, przy realizacjach scenicznych powieści, żądających dużej ilości obrazów, podanych możliwie bezpośrednio po sobie, dla utrzymania wrażenia epickiej ciągłości.

Wspomnieć tu wypada o wyprzedzającym znacznie te próby i przewyższającym je genjalnie, pomyśle inscenizacji Wyspiańskiego do Hamleta, przy którym sztukę tę odegrać można, bez zapuszczenia kurtyny — przenosząc akcję, w oczach widza z miejsca na miejsce. Łączy się to z oryginalną interpretacją Hamleta,—która tu do tematu nie należy.

To napomknięcie o teatrze średniowiecznym i o Hamlecie, naprowadza nas na pierwsze zbliżenie do pojęcia symultaneizmu. Idąc za klasyfikacj ą Strowskiego [3] rozróżniającego dwa typy teatru: 1) typ klasyczny, wywodzący się od teatru klasycznego i 2) szekspirowski, oparty o misterjum średniowieczne, łatwo stwierdzić, że symultaneizm jest stylem przeciwnym klasycznemu układowi, że koresponduje z koncepcją teatru (najogólniej) szekspirowską, a więc więcej uczuciową, swobodną, wieloplanową, żywą, barwną, poetyczną i t. d.

Zarazem fakt, iż styl ten urodził się w *teatrze*, nadaje mu odrazu zdecydowane piętno stylu *dramatycznego*, a więc przeniesiony w inne sfery, nowe, nosić będzie w sobie zawsze zarodek *skrótu* dramatycznego, kondensacji dramatycznej. Nie jest to bez znaczenia, gdyż w tem właśnie *współczesny* czytelnik odczuwa najlepszą sugestję prawdy, realizmu.

Wydawać by się mogło wprawdzie, że skutkiem tego, nie może to być styl właściwy dla prozy, jako działu sztuki nic nie mającego wspólnego ze skrótem. Przecież jednak forma, którą przybrała współcześnie powieść — wykazuje bezsprzecznie tendencję do skrótu i kondensacji, co wynikiem jest zmiany stylu życia całego, stojącego pod znakiem *szybkości*, szybkości technicznej — oczywiście — która do dziś zdążyła zmienić gruntownie nie tylko patrzenie człowieka (deformując wyraźnie wizję zewnętrzności) ale zmieniła gruntownie pojemność i sposób odczuwania.

Żąda się właśnie od powieści skondensowanego skrótu.

Ten więc „dramatyczny" styl — właśnie wydaje się być formą bardzo odpowiednią dla współczesnej prozy. I nie tylko dlatego.

Jeśli bowiem rozważymy symultaneizm jako styl powieściowy, zauważymy, że jest to bezsprzecznie i zasadniczo styl *konstrukcji*. Istotą jego jest wielość i wzajemny stosunek kilku wątków odrębnych, jakby obcych. Tak więc symultaneizm w powieści, bez konstruowania, bez kompozycji bardzo subtelnej jest nie do pomyślenia. Jest przeto symultaneizm kompozycją, układem równoległym różnorodnych elementów tematowych, w celu uzyskania jakby przekroju, płaszczyzny, możliwie obszernej, która narzuca sugestję całości; tym sposobem jest więc stylem na wskroś epickim. To więc *źródło* symultaneizmu — teatralno-dramatyczne, a *ujście* jego dzisiaj — epickie, określa nam to pojęcie jako zasadę sztuki uniwersalistyczną.

Wyobrażam sobie działanie takiej konstrukcji na czytelnika, jako wrażenie anarchicznego chaosu, jako obrazu życia współczesnego (wyraźne u Dos Passosa w Manhattan Transfer) — lub też jako wrażenie wielości i różnorodności, całkowanej ostatecznie — co znów wyraźnie nadawałoby się do t. zw. powieści z tezą, bo tu różnorodność wątków stwarza poprostu jakby liczny i różnorodny materjał argumentacyjny, wspomagając logikę. Również powieść historyczna — zyskać może wiele w tym stylu, boć przecie idzie tu właśnie o możliwie duży przekrój epoki. Jeśli wprowadzam różnorodne wątki, to mogę je mnożyć, gdyż nic mnie nie obchodzi ich współzależność. Osoba X. nie musi być krewną czy znajomą osoby Y., wystarczy, że obie działały w tym samym okresie.

Oczywiste, że zasada ta rodzi najróżniejsze walory dalsze: spotkania wątków, przecinanie się — dadzą się wyzyskać czy to w układzie *równoległym*, czy jako *kontrast* kompozycyjny. Wystarczy wymienić dalej *ironję kompozycyjną*, jako zupełnie nowy element, który przez samo zestawienie konstrukcyjne dwu różnych napięć daje w rezultacie sugestję ironji, bardzo subtelną, bo pozaświadomą.

Pozatem sposób budowy może iść dwoma torami: 1) albo to będzie przemyślany z góry plan układu, przemijania i stykania się elementów powieści — albo: 2) zastosuje się zasadę automatyzmu choćby liczbową, t. zn., że wątki raz kolejno uszeregowane, powtarzać się będą w toku powieści w pewien stały sposób. Z doświadczeń mych wynika, że automatyzm taki, zupełnie ucieka uwadze czytelnika — i nawet daje wrażenie przypadkowej różnorodności.

Symultaneizm jako forma konstrukcji prozaicznej — nie wyczerpuje się na tem. Jest rzeczą oczywistą—że za kompozycją idzie język powieści. Jeśli symultaneizm jest stylem w stosunku do starych — rewolucyjnym, bo nie uznając zasady łączności osób działających, nie uznając prymatu t. zw. bohatera, jest ostatecznie stylem odmiennym i nowym, trudno przypuścić, by słownik, konstrukcja zdania mogły nie ulec zmianie. Naturalnie wypływa z tego styl zwięzły krótki, dramatyczny, już choćby przez to, że nagromadzenie ilości wątków tematowych, jest już napęcznieniem, tak, że słowem oszczędnie musi się gospodarować. Będzie to więc styl stosunkowo objektywny, spokojny — powtarzam dramatyczny — bo pisze się jakby krótkie sceny dramatu.

Uważam, że należało tę kwestję poruszyć, bo symultaneizm jest, mem zdaniem, stylem współczesnym. Może to jest doświadczenie tylko z mojego podwórka, ale przecież już spotkałem się z symultaneizmem w kilku feljetonach innych pisarzy. Może to przecie muzyka przyszłości.

Może, ktoś się tem zajmie — fachowo — ktoś, z krytyki.

Byłoby jeszcze pytanie o symultaneizmie w poezji; — może poeta jakiś coś powie?

---

[1] Co do brzmienia polskiego, uważam „symultaneizm" za poprawny; — trudno zbudować termin polski. Pozatem w niemieckim języku istnieje tylko *przymiotnik* „simultan" a francuski zna także (potrzebny nam) *rzeczownik:* simultanéité.

[2] Sama zasada symultaneizmu nie przynależy wyłącznie do sztuki. Nazwa pochodzi od łacińskiego *simul* — razem, jednocześnie, a oznacza zasadę, gdy dwie lub kilka akcyj dokonują się w tym samym czasie. Gdy więc np. przy szachach jeden gracz rozgrywa jednocześnie kilka partyj przeciwko kilku przeciwnikom — mamy do czynienia z partją symultaneiczną.

[3] „Le théatre et nous" — 1934.

U podstaw matematyki i logiki

(Dokończenie.)

Stopniowanie. — Jeżeli uważać będziemy, idąc za Cantorem, liczbę *m* za zbiór jedności, równych między sobą ilościowo, lecz różniących się jakościowo, wówczas liczba rozmieszczeń z powtórzeniem z *m* elementów po *n* równać się będzie m^n; w algorytmie tym potęgowania m jest podstawą, n wykładnikiem. Jeżeli oznaczymy $m^n = M$, wówczas podstawa, rozważana jako pierwiastek arytmetyczny stopnia n z liczby M, wyraża ilostkę (quantum) różności, wyrażoną przez elementy, składające się na utworzenie wszystkich jedności M. Ustanowienie potęgi n, jako zespołu rozmieszczeń z powtórzeniem po n z elementów podstawy m wysuwa trzy odmienne poglądy: 1) jeżeli $m > n$, żadne rozmieszczenie nie może łączyć wszystkich elementów podstawy, 2) jeżeli $m < n$, w każdem rozmieszczeniu znajdą się elementy powtórzone, 3) jeżeli $m = n$, wówczas i tylko wówczas, przestawienia wszystkich elementów podstawy (bez powtórzenia) wyrażać będą jedności potęgi. Przestawienia, wyzyskując wszystkie elementy, nie powtarzając żadnego, symbolizują to, co jest istotnego, innemi słowy, ewolucję autonomiczną pewnego typu, t. zn. ujawniają kolejno wszystkie wirtualności (mocnotliwości), zawarte w typie; wszelkie powtórzenie, albo wyłączenie jakiegoś elementu wskazuje na jakiś warunek zewnętrzny. Przeto rozmieszczenia po n przy n różnem od liczby m elementów rozmaitych symbolizują ewolucję, podporządkowaną warunkom zewnętrznym, wyrazem zaś tych warunków, z punktu widzenia przyczynowego, są stopnie wykładnika, z punktu zaś widzenia stosunku jednorodnego do różnorodnego, odpowiednia różność pierwiastków. Jedynie potęga, w której stopień równa się podstawie, wykazuje możność rozwinięcia, w łonie ewolucji uwarunkowanej, ewolucji własnej, iszczonej przez przestawienia we właściwem znaczeniu. Taka potęga (m^n), nazwana przez H. Wr. funkcja lamed i oznaczana odpowiednią hebrajską literą, wśród wszystkich innych potęg jakiej bądź ilości, wyraża realizację rozwoju optimum podstawy i dostarcza nam racji dostatecznej do ograniczenia rozwoju nieokreślnie możliwego gatunków w przyrodzie. (Autor wskazuje na niestosowność tu terminu potęga, którą scholastycy nazwaliby raczej aktem, mianując potęgą to, co nazywamy podstawą).

Algorytm potęgi nie jest przemienny, ponieważ podstawa i wykładnik pełnią całkiem różne role, i dlatego mamy tu dwa algorytmy regresywne: jeden sprowadza potęgę ku podstawie, drugi prowadzi od potęgi do wykładnika; mamy tedy funkcję potęg i pierwiastków, gdzie podstawa jest zmienna, zaś wykładnik stały, oraz funkcię wykładniczą i logarytmiczną, gdzie podstawa jest stała, zaś wykładnik zmienny. Funkcje wykładnicza i logarytmiczna zakładają przejścia od potęgowania do sumowania za pośrednictwem mnożenia, jak to się widzi ze wzorów:

$F(x+y) = F(x) . F(y)$ — dla f. wykładniczej
$F(x . y) = F(x) + F(y)$ — dla f. logarytmicznej

Z punktu widzenia arytmetycznego, sprowadzającego potęgę n-tą liczby m do iloczynu n czynników równych, pierwiastek n-ty przedstawia pewną średnią z n czynników nierównych, dającą ten sam iloczyn, tak że idea pierwiastka arytmetycznego opiera się na podstawieniu jednorodnego zamiast różnorodnego w czynnikach połączenia. Z punktu widzenia rozmieszczenia elementów, wzór $m^n = M$ wyraża, że liczba m, będąca n-tym pierwiastkiem, otrzymuje się przez obliczanie różnych typów z pośród elementów, które, wzięte po n, stanowią jedności liczby M; pierwiastek n-ty wyraża tedy ilostkę różności, zawartą w strukturze liczby, utworzonej z (wielu) jedności rzędu n. Tym sposobem potęga n liczby całkowitej może być uważana już, — nie uciekając się do koncepcji liczb urojonych, — jako iloczyn n jakościowo różnych pierwiastków.

Lecz pierwiastki stopnia n są niewymierne dla każdej liczby całkowitej, która nie jest n-tą potęgą liczby całkowitej. Prowadzi to nas do rozważania liczb niewymiernych. Otóż, przekroje Dedekinda dają nam możność określić liczbę niewymierną jako granicę dwóch liczb wymiernych przyległych, tak że wprowadzenie liczb niewymiernych przekształca przyległość na ciągłość. Lecz pozatem są liczby niewymierne przestępne, które nie są pierwiastkami żadnego równania algebraicznego stopnia skończonego, stanowiące rząd niezależny; tu ilość nie ma za podstawę jedności, ustalonej przez indywiduację przedmiotu, lecz jedność dążności, będącej warunkiem wszelkiego działania.

Podstawę potęgowania H.-Wr. upatruje w zmienności ciągłej, która prowadzi do poszukiwania źródła ciągłości w strukturze liczby $e^x = \left(1 + \frac{x}{\infty}\right)^\infty$; wyrażenie w nawiasach nazywa on czynnikiem elementarnym.

Zespolenie $\frac{x}{\infty}$ z jednością wyraża wirtualność (mocnotliwość, mocowładność) wzrastania, przyczem licznik x oznacza stopień, jaki ma ona osiągnąć; nieskończony wykładnik jest warunkiem, iżby ta mocowładność stała się skuteczną i ziściła się w rozwinięciu ciągłem. Współdziałanie zmagających się funkcyj nieskończoności, jako mianownik i jako wykładnik, przyczynia się do zbiegania się tego, co nieskończenie - małe i nieskończenie-wielkie, ku wartości skończonej. Wszystkie liczby dają się wyrazić jako potęgi e lub $\frac{1}{e}$. — Punkt widzenia H.-Wr. ogarnia ewolucję potęg w dziedzinie niewymiernej, w której łonie wartości całkowite i wymierne wprowadzają racje dostateczne do założenia wytycznych czyli stopni w tem, co w istocie jest przejściowem. Z tego powodu właśnie algorytm ciągłości został nazwany przez H.-Wr. stopniowaniem.

Podstawa filozoficzna algorytmów. — Algorytmy mają dwojaki początek, albo lepiej — dwa krańce: przyczynowy, wywodzący się z warunków (samej) ilości, oraz celowy, zdążający ku ich zjednoczeniu w pojęciu liczby. — Autor w poprzedniej swej pracy p. t. „Quantité, Infini, Continu“ zdefinjował ilość, jako stosunek, zachodzący między istnieniem rzeczywistem a istnieniem możliwem,i wykazał, że ten stosunek ma za granice zero i nieskończoność, za element zaś neutralny jedność; następnie rozwinął kategorję ilości według Prawa Stworzenia H.-Wr., i rozwinięcie to streścił tak: „Wychodząc, jako natężenie, z jedni metafizycznej, ilość po przejściu przez ciągłość i nieciągłość, rozwija się, jako roztężenie, na wielkość i mnogość. Miara i granica sprowadzają roztężenie ku jedności. Przez wpływy ciągłości i nieciągłości ilości ustanawiają funkcje i grupy. Ilość zdąża ku liczbie, wyzwalającej ją zarazem z natężenia i roztężenia, by stworzyć dla niej bytowanie idealne, i ostatecznie staje się rzeczywistością konkretną, przekształcając się na figurę“. (Obszerniej to wyłożyliśmy w naszej pracy p. t. „Kategorja Ilości, rozwinięta według Prawa Stworzenia H.-Wr.“, umieszczonej w „Kwartalniku Filozoficznym“, t. VIII, 1930).

Funkcja, spełniana przez jedność w dziedzinie wielkości, określa pojęcie całości; funkcja, spełniana przez jedność wobec mnogości, określa pojęcie elementu. Otóż, związek stosunku (o dwóch terminach) pomiędzy całością i elementem z relacją (o trzech terminach) jedności z zerem i nieskończonością ustanawia prawo podstawowe ilości. Kierując się tem prawem na czterech zbieżnych drogach rozważania: trybem logicznym (treść i zakres), trybem architektonicznym (synteza), trybem ontologicznym (przeciwstawienie), trybem metafizycznym (ustanowienie rzeczywistości), można odsłonić naturę trzech algorytmów pierwotnych oraz ich związek z trzema elementami wszelkiego systematu rzeczywistości.

Liczba nie jest czystą ilością; jest ona przystosowaniem wzajemnem ilości i jakości; powstaje ona wraz z istnieniem i cojakością, gdy przechodzimy od Absolutu do względności. — Liczba występuje w dwóch postaciach: jako kardynalna i jako porządkowa. Liczba kardynalna jest dana jako całość, złożona z mnogości jednostek; liczba porządkowa określa się jako funkcja wszystkich tych, które ją poprzedzają. Liczba ma swą pierwszą zasadę w analizie warunków myśli, a wraz z nią — wszelkiej rzeczywistości; nie powstaje ona przez odliczanie, albowiem ona jest jego warunkiem; wyłania się ona z konieczności sprzymierzenia wspólności i odrębności, by módz pojąć albo ziścić relację. Otóż, liczba jest, z jednej strony, zbiorem na podstawie tego, co elementy mają tożsamego, i, z drugiej strony, formą mocowładną, ustanowioną przez potęgę różności, którą on zawiera. Dwie te pierwszorzędne i różnorodne cechy określają się wzajemnie i wynikają z tej samej istoty.

Przy końcu rozważań algorytmicznych wypada nadmienić, że iteracja (powtórzenie) nie może znaleźć się wśród algorytmów elementarnych. Iteracja wiąże się z poglądem czysto arytmetycznym, że mnożenie jest szczególnym wypadkiem dodawania, potęgowanie zaś — mnożenia. Ponieważ iteracja nie wprowadza żadnego specjalnego sposobu łączenia i rozdzielania, nie posiada przeto warunku niezbędnego, by stać się algorytmem.

Logika matematyczna. — Niektóre algorytmy matematyczne zostały rozszerzone na dziedzinę logiki nowoczesnej, która otrzymała nazwę logistyki, lub logiki symbolicznej, lub algebry logiki, lub logiki algorytmicznej lub też logiki matematycznej; ta ostatnia nazwa wydaje się najwłaściwszą, jako obejmująca logikę algorytmiczną i logikę geometryczną (świeżo powstałą i uprawianą w Polsce przez B. Bornsteina). Jeden z twórców nowoczesnej logiki, B. Russell, pokrewieństwo między matematyką a logiką skłonny jest uznać za tożsamość tych dwóch nauk. Ale Russell nie rozumiał istoty matematyki. Twierdzenie nasze opieramy nie tyle na paradoksalnem jego powiedzeniu, że „matematyka jest nauką, w której nigdy się nie wie, o czem się mówi, ani czy to, co się mówi, jest prawdziwe“, ile na tem, że on nie znał filozofji matematyki H. Wr. — Dla H.-Wr. przedmiot matematyki stanowi forma bytowania przyrody, t. zn. czas i przestrzeń, do których, rozważanych objektywnie (t. zn. jako ogarniających zjawiska fizyczne a posteriori), stosuje się kategorję ilości; logika zaś, podług niego, ma za przedmiot warunki fizyczne sprawowania władz twórczych czyli hyperfizycznych, i jest niejako formą myśli. Nadmieniamy, że Boole definjuje logikę jako naukę o prawach myśli. Najistotniejszą rzeczą w matematyce jest pojęcie nieskończoności (H.-Wr., Weyl) i definicje. Podług Kanta tylko matematyka posiada definicje; w matematyce definicja należy ad esse, w filozofji ad melius esse.

Przypatrzmy się teraz algorytmom, stosowanym w logice. W matematycznej logice rozważa się pojęcia, zdania, relacje tylko z racji tego, co je czyni różnemi, bez uwzględnienia liczby indywiduów lub wypadków, w których powtarzają się; połączenia dwóch danych (pojęć, zdań, relacyj) uwidocznia to, co je wyodrębnia, i to, co jest im wspólnego. — Suma arytmetyczna określa zakres pewnej jakości lub pojęcia, wspólnego wielu przedmiotom; suma logiczna określa treść mnogości lub pojęcia i obejmuje wszystko, co jest odrębne, i łączy zewnętrznie, i podobna jest do wyniku dodawania wektorjalnego. Iloczyn logiczny zatrzymuje tylko to, co jest wspólne i podobny jest do wyniku mnożenia skalarnego. Logiczne dodawanie i mnożenie są przemienne. Dodawanie logiczne jest rozdzielcze względem mnożenia (która to właściwość przynależy dodawaniu arytmetycznemu tylko w wypadkach specjalnych). Mnożenie logiczne jest rozdzielcze względem dodawania.

W logice utrzymuje się tylko alternatywa: być albo nie być: 1 jest całkowitem stwierdzaniem bytu, 0 całkowitem zaprzeczaniem. Przedział logiczny (0,1) dzieli się pomiędzy stwierdzeniem i zaprzeczeniem, lecz nie liczy się jego części na proporcje. Stosunek o trzech terminach (zero, nieskończoność, jedność), na którym zakłada się ilość i rozwija się matematyka, w logice sprowadza się do stosunku o dwóch terminach: wszystko i nic. Rozbieżność wzorów matematyki i logiki wynika stąd, że w logice abstrahuje się od mnogości, uwzględnia się jakość. Matematyka wprowadza też jakość, lecz by ją interpretować zapomocą pojęć ilości.

Paulin Chomicz.

„Pan Tadeusz“ po francusku

(Od tłumacza: Podajemy tu jeden z głosów, jakie we Francji odezwały się z okazji „jubileuszowego“ tłumaczenia dokonanego przez Cazina. Rehabilituje on to tłumaczenie i przypomni może w Polsce, że poemat mickiewiczowski — nie będący zresztą „najwyższem arcydziełem polskiej poezji“ i który dla Mickiewicza był tem tylko, czem go sam nazwał — jest najpiękniejszym może jaki istnieje. poematem heroikomicznym).

Wiadomo, jak Polacy kochają „Pana Tadeusza“. Ta „szlachecka historja“ litewska, to cała „polskość“, cała dawna Polska, cała jedna cywilizacja. „Przeczytałem na nowo „Pana Tadeusza“, pisze mi jeden z przyjaciół, z głębokiem wzruszeniem. Za czasów mego dzieciństwa ten świat jeszcze nie znikł zupełnie. Z niego wyszedłem. Cywilizacja już na zagładę skazana za czasów Mickiewicza, ale ta nasza i jedyna, jakąśmy wytworzyli...“ Patrzcie, bo oto:

jako zjawienie
Litwa ubrana w tęczowe promienie
Wychodzi z lasu...

Pisze to Słowacki i ten rywal i antagonista Mickiewicza nie waha się przyrównać go do tego Wojskiego z „Pana Tadeusza“, co tak grał na rogu, że nawet gdy grać przestawał, zdawało się wszystkim, że „Wojski gra wciąż jeszcze a to echo grało“. Pieśń to istotnie taka, że ją dalej podawać musiało echo i powtarzać mógł cały jeden naród.

Ale my, którzy nie jesteśmy Polakami? My mogliśmy obawiać się nieporozumienia i że zaszła wybaczalna konfuzja walorów poetyckich z uczuciowemi. Stąd niemal zdziwienie, gdy się okazuje, że ten „Pan Tadeusz“ nietylko się podoba, ale porywa. Dawno już nie czytałem czegoś, coby było tak żywe w kolorze, tak pełne ruchu, o tak szerokiem tchnieniu, słowem czegoś, coby mi sprawiło tyle przyjemności.

Należy się wdzięczność pełnemu pomysłowości i wdzięku Cazinowi. Przekłady ubiegłego stulecia, nazbyt wymuskane, bywały mdłe; inne, przeciwnie, zniekształcał nadmiar lokalnego kolorytu. Ten jest piękny, swobodny, pełen świeżości. Poemat rusza z miejsca, jak gdy się wczesnym rankiem rusza przed siebie w dal szeroko otwartą.

„Mówiłem sobie zrazu, pisze Cazin, że z wspaniałego poematu zrobię przyzwoity romans“. Zrobił lepiej. Dał to, czem jest ten poemat: heroikomiczną epopeją. „Ostatnim zajazdem na Litwie“ nazywa go Mickiewicz w podtytule. Te „zjazdy“ to były egzekucje sądowych wyroków, które strona pozywająca sama zbrojnie przeprowadzała przy pomocy krewnych, przyjaciół i poddanych. Tutaj, Hrabia, rywal Tadeusza—rywal w umizgach do kokietki i do naiwnej—folgując swym romantycznym inklinacjom, postanawia odzyskać zrujnowany zamek przodków, zagarnięty przez rodzinę Tadeusza. Horeszkowie napadają na Sopliców. Ale z chwilą gdy interwenjuje wojsko rosyjskie, zwaśnieni bracia się godzą i wpadają na Moskali, którzy wystrzelani, wybici, wyrąbani, z mózgami wyczerepionemi przez zwaloną na nich starą drewnianą sernicę, zalegają pole trupami. Trupami, które—ma się wrażenie — od miodu raczej i wódki gdańskiej niż od razów poległy i rychło powstaną, by pić dalej z Polakami, jak to czyni ich pozostały przy życiu kapitan. I jak się to wszystko składa szczęśliwie. Skompromitowani szlachcice jadą przyłączyć się na emigracji do polskich legjonów, na wiosnę zjawia się Napoleon, wojska francuskie wyzwalają Litwę, Tadeusz poślubia swoją naiwną wśród dwóch czy trzech innych stadeł; stary żyd gra na cymbałach marsza Dąbrowskiego i słońce zachodzi przy akompanjamencie wojskowej kapeli, nadając wydarzeniu całą pożądaną świetność.

„Herman i Dorota“? Tamto jest mieszczańskie; to tutaj, jest sielskie, feudalne, patrjarchalne: jest homeryczne. O co bo się rozchodziło? O odmalowanie całej jednej agrarnej cywilizacji, a ta tutaj jest cała, od przysłowi do krajobrazów, od tańców do organizacji sądownictwa, od astronomji ludowej do uprawy pól i ogrodów, od polowania na niedźwiedzia do grzybobrania, od zrazów wołowych do historycznych anegdot. Ludzie jawią się tylko jako cząstki Litwy, prawdziwi i żywi na tyle, ile potrzeba by byli typami. Tadeusz ma całą naiwność pierwszego amanta, który po to tylko jest tutaj, by się bić i ożenić z cudownie nieskomplikowanem dzieckiem. Mickiewicz się na to patrzy i uśmiecha.

Co tyle uroku nadaje „Panu Tadeuszowi“, to właśnie ten uśmiech, ta werwa i coś, co jest czemś więcej: subtelny, ironiczny i tkliwy entuzjazm. Jak on zna ten świat, który opisuje i jak go kocha. Prawdziwym Mickiewiczem, tym który własne swoje słowo (son propre message) przynosi, tym jedynym i niezastąpionym, pozostanie zawsze tamten z „Dziadów“ i „Kursów o literaturach słowiańskich“. Ale ten tutaj, co za przedziwny realista! Jakże promiennem jest majowe słońce, któremu wschodzić każe nad temi lasami, polami, wioskami, nad temi drewnianemi dworami z ich ogrodami pełnemi maków i słoneczników. Ileż scen w sto barw rozkwieconych i blasków; jak to jest kunsztownie rozłożone i jak się zwolna we fresk monumentalny rozwija. Ma się ochotę nie ufać przyjemności, jaką się odczuwa, mówić sobie, że to jest nazbyt zręczne, nazbyt spreparowane: ten sztafaż, te zdumiewające uczty, te szable tureckie z ich legendami, te bory tak dzikie, te sady tak zielone... Ale nie, to nie jest widziane od zewnątrz: „temat“, motyw wewnętrzny, to to właśnie, świat litewski. I ten afekt, ten cudowny entuzjazm — sekret tego cudu — ostaje się na placu zwycięski.

W „Panu Tadeuszu“ Mickiewicz wychodzi po za romantyzm. Nie dlatego tylko, że z humorem drwi z romantyzmu Hrabiego tak, jak opiewając ogród i drób soplicowski, parodjuje Georgiki. Dlatego przedewszystkiem, że umie na samego siebie spoglądać z uśmiechem — prawdziwszy przez to i bliższy — a w sposób właściwy tylko największym. Satyryczne ujęcie pewnych cech narodowego charakteru i siebie samego w roli tego, który tu pragnie zostawić testament, występuje może najdobitniej w finale, bo zakończenie ma także „morał“: pogodzenie stanów, usymbolizowane w związku Tadeusza z hożą i chłopki bliską szlachcianką. Występuje również w motywie centralnym, w ideji odkupienia win przez heroiczne poświęcenie, wyrażonej w postaci zbrodniarza, zdrajcy może, który przewinienia swoje zmazuje i którego naród rozgrzesza. Idzie od tego gestu na cały poemat szczególne światło i piękno.

Swój świat bujny, jędrny, kwiecisty, cały jak ogród z tego samego gruntu wyrosły, ten świat Mickiewicz nietylko odtworzył, ale go przetworzył. Wzniósł go trochę ponad rzeczy, ideje i namiętności, w atmosferę końcowej harmonji i zgody: w światło jutrzni, która kiedyś zaświta.

Jednak się przed tym poematem wali
Jakaś ogromna ciemności stolica,

mówi Słowacki. I jest tak istotnie: oto czas i śmierć przewalczone; ze swej Polski z lat 1811—1812 poeta odtworzył raj, który Polacy odnajdą w dniu ostatecznym.

(„Nouvelle Revue Française“)

Henryk Pourrat

Polonica

Czesław Jastrzębiec Kozłowski został odznaczony—jeszcze przez ś. p. króla jugosłowiańskiego Aleksandra—komandorją orderu św. Sawy za gorliwą pracę na niwie wspólnoty kulturalnej królestwa jugosłowiańskiego z naszą ojczyzną. Największą zasługą znanego naszym czytelnikom poety, krytyka i myśliciela, był przekład narodowej epopei jugosłowiańskiej „Osmana“ na język polski.

Zbiorowa praca o stosunkach polsko-niemieckich, zredagowana przez Alberta Brackmanna i wydana w języku niemieckim w r. 1933, ukazała się obecnie w przekładzie francuskim p. t. „L'Allemagne et la Pologne dans leurs rapports historiques“ (przekład pióra E. Olivier-Henriona, nakł. R. Oldenburga, Monachjum). Wydawnictwo to ma się ukazać w najbliższym czasie w przekładzie na język angielski. Pracowali nad niem m. in. H. Aubin, H. F. Schmidt, J. Nadler, H. Oncken, A. O. Meyer, O. Hoetzsch i in.

„Dziejów obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI — XVIII“ w opracowaniu prof. J. St. Bystronia ukazał się tom drugi, zawierający przeszło 500 stron tekstu 246 ilustracyj i 32 tablic.

Feldmana „Historja literatury polskiej“ ukazała się w przekładzie na język czeski pod redakcją Jerzego Horáka, który także opracował uzupełnienia. (Nakład J. Laichtera w Pradze).

Ukazał się Nr. 1 nowego pisma p. t. „Marchołt“. Jest to kwartalnik poświęcony literaturze redagowany przez Stefana Kołaczkowskiego. W N-rze 1-ym, znajdujemy obok artykułu Kołaczkowskiego na temat reformy polonistyki, artykuły o Mickiewiczu pióra Artura Górskiego i Z. Szmydtowej, rozważania na temat współczesnej psychologji Romana Ingardena, M. W. Jaskiego artykuł w sprawie trzech „grożących nam“ pomników (Mickiewicz w Wilnie, Słowacki we Lwowie, Kiliński w Warszawie), wiersze T. Makowieckiego i prozę A. Osieckiej.

„Sprawy kaukazkie w polityce europejskiej w latach 1831 — 1864“ opracował i wydał nakładem Warszawskiego Instytutu Wschodniego Ludwik Widerszal. Obszerne to studjum wydano jako XIII tom rozpraw historycznych Warszawskiego Towarzystwa Naukowego.

Filozofja współczesna

Ks. Józef Pastuszka, dr. fil. i teol., docent. fil. Un. Warsz. Filozofja współczesna. Tom. I. 167 str. W-wa. Skł. gł. Gebethner i Wolff. 1934.

„Pochodzenie władzy państwowej według Bellarmina", „Nieśmiertelność duszy ludzkiej u św. Augustyna", „Rola Kościoła w kształtowaniu Światopoglądu", „Współczesne kierunki w filozofji religji", „Kryzys kultury a religja", „Nieśmiertelność duszy ze stanowiska filozoficznego"— oto tytuły niektórych dawniejszych prac ks. Pastuszki. Praca niniejsza, której tomu drugiego będziemy czekali z zaciekawieniem, „pragnie zobrazować ruch filozoficzny ostatnich trzech dziesiątków lat (od 1900). Nie zawiera ona wszechstronnej charakterystyki twórczości wszystkich filozofów tego czasu, nie zajmuje się analizą ich dzieł, ani nawet nie podaje zupełnej i dokładnej literatury filozoficznej. Nie wyczerpuje też całej problematyki filozoficznej doby obecnej. Jej celem jest dać syntezę najważniejszych kierunków myśli filozoficznej, które zadecydowały o duchowem obliczu teraźniejszości".

Autor podzielił swą pracę w tym t. I na nast. rozdziały: Psychoanaliza, Filozofja Nietzschego, Prądy materjalistyczne, Filozofja Bergsona, Irracjonalizm, Filozofja czynu. W każdym z tych rozdziałów dał zwięzły przegląd wszystkich głównych przedstawicieli danego kierunku. Wykład jego osiąga nieomal ideał tego, co można nazwać bezwzględną rzetelnością w streszczaniu cudzych poglądów. Przy każdym, choćby najmniej sobie sympatycznym myślicielu, autor okazuje maximum dobrej woli, aby myśl jego przedstawić w tem, co ona zawiera najbardziej twórczego.

Na końcu każdego rozdziału znajdujemy „Uwagi krytyczne" w których autor wyraża własne poglądy na omówione poprzednio sprawy. Zwięzłość tych uwag krytycznych czyni je z konieczności nieco pobieżnemi. Mimo to, są one niekiedy zadziwiająco trafne: tyczy się to zwłaszcza krytyki materjalizmu; natomiast bez porównania słabiej wypadła krytyka irracjonalizmu. Sądzę, że należało tu dać kontrargumenty o wiele bardziej dogłębne.

Ale prawda i to, że książka jest przeznaczona nie dla specjalistów, tylko dla inteligentnego ogółu — i w tym zakresie spełnia swe zadanie doskonale: jest bardzo przejrzysta, całkowicie pozbawiona frazeologji i fałszywej poetyczności, zajmuje się tylko najistotniejszemi zagadnieniami.

Możnaby wysunąć zastrzeżenia przeciw temu, iż autor poświęcił cały rozdział rzekomej filozofji Nietzschego. Przecie filozofja różni się od potocznych poglądów i zapatrywań przedewszystkiem swą systematycznością: wszystko w niej musi być spoiste, wypływać z jednej zasady. Nie można przeto nazwać filozofją — agregatu choćby najszlachetniejszych czy najdowcipniejszych aforyzmów, nie związanych jednią myślną, często wręcz sprzecznych między sobą, a już w każdym razie nie stanowiących systematycznej całości.

Wrońskista, czytając te streszczenia kilkudziesięciu filozofów, myśli co chwila: Mój Boże, o ileż to głębiej jest ujęte u Wrońskiego! Niektóre zaś doktryny stanowią poprostu ponowne odkrycie, tylko mniej uzasadnione, tego, co Wroński dawno już wyjawił ze ścisłością dydaktyczną.

Zwłaszcza mię to uderzyło, gdym czytał o Nicolai Hartmannie, o którym autor mówi, że stworzył „nawskroś nowoczesną, oryginalną metafizykę poznania"; proszę przeczytać rozważania Hartmanna na temat stosunku pomiędzy podmiotem a przedmiotem, następnie zaś przejrzeć Wrońskiego tablicę psychologji, z jej podziałem wiedności na wiedność jaźni czyli świadomość oraz wiedność niejaźni czyli wyobrażenie.

To nasze *caeterum censeo* można oczywiście uznać za „konika". Ale czy słusznie? Gdybym każdemu spotkanemu radził napić się mleka z sodą, byłoby to dziwactwo. Lecz jeśli każdemu, kto pyta, gdzie jest kolumna Zygmunta, wskazuję stale ten sam punkt, a nie coraz to inny, to w tem dziwactwa nie widzę. Skoro maximum prawdy znajdujemy w filozofji absolutnej Wrońskiego, to jakże możemy nie skierowywać do niej wszystkich, tej prawdy szukających?

Cz. J-K.

Ciekawe biografje

Opowieści o życiu Cervantesa ogłosił Bruno Frank (Querido — Amsterdam). Na tle interesująco i obszernie odmalowanej epoki ukazuje nam autor swego bohatera najpierw jako nieznanego literata w Madrycie, potem jako dworzanina u jednego kardynała w Rzymie. Cervantes zostaje wtedy żołnierzem i w bitwie pod Lepanto dostaje się do niewoli. Sprzedany jako niewolnik do Algieru, przebywa tam trzy lata, zanim pieniądze złożone na wykup pozwolą mu powrócić do ojczyzny. Za tło tej opowieści służą czasy inkwizycji hiszpańskiej. Wśród czołowych postaci ówczesnej Francji i Hiszpanji, na pierwszy plan wysuwa się wspaniale narysowana, zagadkowa postać Filipa Pięknego.

Ricardo Guiraldes, znany pisarz argentyński daje w książce swej p. t. „Das Buch von Gaucho Sombra" (przełożonej na język niemiecki i wydanej u Cassirera, Berlin) obraz swej własnej młodości. Był on sierotą i młodość swą spędził jako pasterz bydła nad Gaucho Sombra. Przyjacielem jego i wychowawcą jest don Segundo, człowiek — wyrastający w tej autobiografji — na mityczną prawie postać, na uosobienie ideału Argentyńczyka. Książka ta, dzięki swej treści — staje się niejako eposem rolniczej Argentyny. Język jej nader piękny, lecz trudny dla czytelników dzięki obfitemu używaniu słów starohiszpańskich, i różnych południowo-amerykańskich djalektów.

Życie Webera jest treścią powieści biograficznej Oskara Anwanda („Karl Maria von Weber" — R. Bong — Berlin). Młodość „cudownego dziecka" na dworze króla wirtemberskiego, zwolennika Napoleona, objęcie kapelmistrzowstwa w Pradze w r. 1814, zdobycie „szturmem" Berlina w dniu premjery „Wolnego strzelca", który osiągnął niebywały sukces, wystawienie „Oberona" w Londynie oto główne etapy tej powieści.

Miłość Liszta i hrabiny d'Agoult obrał za temat swej książki Robert Bory. Studjum, noszące tytuł „Franz Liszt und Marie d'Agoult in der Schweiz. Ein Liebesroman aus der Romantik" (wydane u Reissnera w Dreźnie) oparł autor na licznych, nieopublikowanych częstokroć listach Liszta, Marji d'Agoult, George Sand i in. Piękna hrabina, jedna z najbardziej interesujących postaci rewolucyjnej doby lat czterdziestych, nie dbając o skandal ucieka z młodym muzykiem. Owocem tego związku jest Cosima, przyszła żona Wagnera.

Wielka księżna rosyjska Maria wydała swe pamiętniki („Als Prinzessin im Exil. Ein Frauenschicksal in der alten und neuen Welt" — C. Reissner — Drezno). Po ucieczce z Rosji przebywała początkowo wielka księżna na dworze rumuńskim. Później pracowała jako krawczyni w Paryżu i w Londynie, założyła wreszcie wspaniały magazyn mody w Nowym Jorku.

Czas odnowić prenumeratę za 3-ci kwartał III-go roku wydawniczego.

Brzozowski — wielki nieznajomy

1. Patrzeć jest o wiele trudniej, jak — gapić się. A mówić o wiele trudniej, jak — gadać, paplać. Znamienna niechęć czasów naszych, czasów tonących w istnym *oceanie* zadrukowanej bibuły, kieruje się przeciwko rozważaniom teoretycznym, jako stojącym zbyt daleko od „życia", „czynu". Stanowisko takie — stanowisko *barbarzyńskie* — przewidywał już Leibniz, kiedy się obawiał: ne studiorum taedio barbaries reducatur. Otóż tego typu barbarzyńcy zapominają, że *teorja* polega na *patrzeniu*, a wyraz swój znajduje w mówieniu. Bratnia para gapienia się i paplania nie teorji a *demagogji służy.* Wyrazem jej: negatywizm, feljetonizm, werbalizm. Nasuwa się mimowoli — ad „ciężki" styl Brzozowskiego — takie zestawienie: któryś z XVII-owiecznych polyhistorów zginął, przywalony półkami bibljoteki. Śmierć symboliczna. — Feljetonizm, styl „lekki" *) — często rozpływa się w powietrzu. Śmierć równie symboliczna.

2. Otóż taką śmiercią nie umierają tylko bardzo nieliczni pisarze. Dotyczy to i Brzozowskiego, którego pośmiertny wpływ niewątpliwie rośnie. Główną jego zasługę upatrywać można we fakcie, że władny był zająć „stanowisko napoleońskie" wobec kultury naszej, zachodnio-europejskiej: nie ugiął się pod jej ciężarem, *nie poddał się* psychozie zmęczenia, tak charakterystycznej dla współczesnej defetystycznej kiereńszczyzny inteligencji tego typu, co—cynicznej „mądrości życiowej" pełna — umiała odrzucić godność człowieka, jako rzecz dziś, w wieku postępowej kolektywizacji, racjonalizacji, matołkizacji, przestarzałą i — *naiwną*...

3. Naiwne? Owszem. Nic co nie naiwne, nie było *twórcze.*

Jeżeli filozofja operuje pojęciem *naiwnego realizmu*, jako naturalnej swojej *podstawy wyjściowej* — to *naiwnym filozofizmem* możnaby nazwać miejsce, w którem Brzozowski („Idee" str. 27 — 8) mówi o „religijnem poszanowaniu praw jednostki" jako o naturalnej linji rozwojowej naszej kultury zachodnio - europejskiej. Przeczy temu „kapralizm", kolektywizm, etatyzm — formy życia, przeciwko którym mobilizuje się wzmocniona ostatnio samoświadomość i dodatnia ocena własna *elity inteligenckiej.* Otóż w tej *kontrofenzywie inteligencji* konieczną rzeczą jest dokładna znajomość Brzozowskiego.

4. Otóż tutaj — odmawiając tytułu i praw „doktorów egzegezy" ludziom z „Legjonu Młodych" — stwierdzić należy, że Brzozowski jest właśnie tyle samo *ich* człowiekiem, jak np. Briand (por. ust. 5-y). Sam Brzozowski (Idee, str. 274) sytuację podobną określa w sposób następujący:

„Jest rzeczą niewątpliwą, że dla bardzo znacznej części polskiej postępowej inteligencji byłoby wielką niespodzianką, gdyby zapoznała się ona z całością dzieł i istotnym charakterem myśli pisarzów, których imiona są u nas tak popularne, jak np. Augusta Comte'a lub Ernesta Renana. Rysem charakterystycznym naszego umysłowego życia jest, że naszymi autorytetami są najczęściej wielcy nieznajomi. Lubimy widzieć ich nazwiska na szpaltach naszych pism i myśleć, że w jakimś znaczeniu i zakresie są oni przecież z nami".

*) Broń „Wiadomości Literackich", Boya, Słonimskiego i ich szkoły.

Mirosław Ogórek.

Przegląd prasy

Anonim ze „Słowa" a „mocarstwo anonimowe".

W wileńskiem „Słowie", pałającem podejrzaną nienawiścią do polskiego mesjanizmu, nieraz już napadał niejaki p. Charkiewicz na filozofję (i osobę) Hoene-Wrońskiego. Ostatnio dopomógł mu jakowyś anonim, który w „recenzji" z książeczki B. Dobrowiesta p. t. „Zagadnienie Żydowskie", wyszydza koncepcję autora: zwalczenia destrukcyjnego mesjanizmu żydowskiego mesjanizmem polskim głoszonym „przez naszych wieszczów i myślicieli, a zwłaszcza Hoene - Wrońskiego". Anonim wypisuje w swej „recenzji" takie brednie, że polemizować z nim nie warto. Nie warto też zastanawiać się o co mu właściwie chodziło, co miał na myśli, gdyż najprawdopodobniej poczciwiec ten nic nie myślał (co zapewne jest jego stałem zajęciem, prócz pisania recenzyj do „Słowa"). Jedynym jego celem było niewątpliwie zakpić sobie w sposób gruboskórny z mesjanizmu, gwoli uciesze bezkrytycznych czytelników.

Ale mówi przysłowie: niema złego, coby na dobre nie wyszło. W swojej ironją maskowanej złości anonim zdradził nam pewien tajemniczy szczegół, o którym nie wiedział dotąd nikt z zajmujących się Hoene-Wrońskim w Polsce. Pisze on mianowicie: „Jednym z najzapaleńszych entuzjastów mesjanizmu polskiego w edycji Hoene - Wrońskiego jest młodzieniec żydowskiego pochodzenia". Co za radosna wiadomość! Tak mało jest zwolenników filozofji Hoene - Wrońskiego, że każdy nabytek, to skarb nielada. Dawać go tutaj! Na rękach będziemy nosili! Prosimy tylko redakcję „Słowa" o bliższe informacje: imię, nazwisko, dokładny adres, imiona rodziców. Kochany p. Mackiewiczu, weź czemprędzej na spytki swojego anonima, bo przecież w „Słowie" nie wolno nic goło-słownie...

A może to on sam jest tym anonimowym „młodzieńcem żydowskiego pochodzenia?" Nie jest to wykluczone, gdyż ton recenzji brzmi zupełnie tak, jakby był nastrojony przez pewne „mocarstwo anonimowe".

Dookoła Norwida...

Sarabanda rozpoczęła się. Dobrze, że choć w ten sposób zainteresuje się społeczeństwo polskie Norwidem. Podobno na skutek sensacyjnego procesu Miriam-Pini nakład edycji „Dzieł zebranych" jest już na wyczerpaniu. Książka idzie lepiej niż powieści Marczyńskiego. „Ideał sięgnął bruku!..". Już przedtem dobrze zarobiła p. Mortkowiczowa na procesie Miriama z Zetem, gdyż popyt na Norwida wzmógł się niebywale. Taki to już kraj ta Polska. Jej najwięksi genjusze nie doczekają się uznania inaczej jak w atmosferze skandalu. Tak jak pod przepaską: „Tylko dla dorosłych..." przemycał Boy Kartezjusza. tak Norwid trafia dziś do dusz polskich krętą ścieżką procesu o prawo do eksploatacji praw... kupionych za 100 rubli. Należy mniemać, że Polska przyznałaby się do swego największego filozofa (Hoene-Wrońskiego) dopiero po włamaniu z wytrychem do biurka Miriama, gdzie przechowuje jego niewydane rękopisy. Jakże niedaleko u nas od ideału... do bruku. A prof. Pini nie rozumie co oznacza ostatni wiersz „Fortepianu Szopena". Oto ma pan aktualny komentarz panie profesorze!

W prasie o „Norwidzie" pełno. Sensacją jest artykuł prof. Piniego w „Wiadomościach Literackich", z którego dowiadujemy się, że 1) Miriam nabył prawa autorskie do Norwida za 100 rubli (!) od powinowatej poety, Francuski z pochodzenia, Anny Norwidowej, „która żyła wówczas w Krakowie w ostatniej nędzy" („nie miała ona prawa — twierdzi prof. Pini — odstępowania komukolwiek podobnych przywilejów, bo sama ich nie posiadała"); 2) autorem ustawy o prawie autorskiem, zabezpieczającej Miriamowi prawa na dalszych lat 10, jest sam Zenon - Przesmycki, który zdaniem prof. Piniego — obmyślił tę ustawę zgóry w ten sposób, by jego osobiste interesy nie zostały na szwank narażone. W dodatku Miriam nie przyznał się nikomu, że przedłużył sobie prawa autorskie na lat 10, jakby umyślnie — z chytrością i złośliwością godną podziwu — chciał zastawić pułapkę na nieopatrznych konkurentów.

Jeżeli informacje prof. Piniego są dokładne, to istotnie wypada zdumieć się, iż ten mąż wzniosły, gardzący tłumem, królujący na Olimpie we wzgardliwem milczeniu, posiada niezwykły węch w przyziemnej sferze korzystnych operacyj handlowych. Teraz dopiero zaczynamy rozumieć, jakim sposobem p. Przesmycki doszedł do godności oficjalnego speca i patrona od filozofji absolutnej Hoene-Wrońskiego wraz z przyległościami (t. j. rękopisami, zaszczytami i subsydjami), choć nic dosłownie nie zrobił w tym zakresie przez lat 50.

Barbarzyński pomysł.

IKC donosi z Ankary: „Modernizacja Turcji poszła również w kierunku dostosowania dawnej muzyki tureckiej do poziomu europejskiego. W związku z tem ministerstwo spraw wewnętrznych w Ankarze zakazało orkiestrom tureckim, jako też stacjom radjowym, granie i nadawanie utworów muzycznych typowo tureckich".

Przykro jest gniewać się na kraj, do którego wszyscy mają dawną a tradycyjnie uzasadnioną sympatję. Trzeba jednakowoż stwierdzić, że zakaz powyższy jest najidjotyczniejszem rozporządzeniem urzędowem, z jakim zdarzyło nam się spotkać w ostatnich czasach. Płytkość takiego pojęcia „europeizacji" zdumiewa i przeraża. Jakto, wyzbywać się rdzennych cech psychiki i twórczości narodowej, t. j. tego właśnie co wnieść powinien każdy poszczególny naród do skarbca ogólno - ludzkiej kultury? Wyrzekać się swego „ja" na rzecz „ja" cudzych, z któremi i tak niepodobieństwem jest bez reszty się zasymilować? Przecież muzyka europejska to muzyka Francuzów, Włochów, Niemców, którzy wnieśli do niej własne swoje specyficzne pierwiastki duchowe. Bogactwo kultury europejskiej polega właśnie na różnorodności tych pierwiastków, w miarę czasów coraz idealniej harmonizowanych; harmonja zaś to nie abstrakcyjna bezosobowość lecz jednia w wielkości. Przekreślając odrębność swej muzyki narodowej, Turcja zuboży tylko tę wielość. czyniąc temsamem europejską jednię kulturalną mniej treściwą. mniej bogatą.

Książki i czasopisma

Przegląd Filozoficzny (rocznik 37, z. II). Rozprawy: St. Schayer „Anityatâ III"; T. Witwicki „Locke'a teorja idej ogólnych i jej dzieje (II)"; J. Fr. Drewnowski „Zarys programu filozoficznego (II)". Studja krytyczne: „Problem religijny w Rosji" przez M. Zdziechowskiego; „Fragmenty Filozoficzne" przez M. Kokoszyńską. Sprawozdania z literatury polskiej i zagranicznej. Dyskusja w sprawie Dionizego Areopagity.

Bunt Młodych (r. V. Nr. 15 (64) —). Stanisław Łoś: Ukraiński Uniwersytet czy szkoły zawodowe?; Aleksander Bocheński: Coś z tą czystką nie w porządku; Al. Chrząszczewski: Dwa przeciwieństwa; A. Listowski: Na marginesie współczesności; Stanisław Vincenz: Prawda o opryszkach. Intermezzo capricioso; Jerzy Braun: Teatr w impazie; Przegląd prasy perjodycznej. Żyrardów — Zjazdy: M. Sapieżanka: Przegląd prasy zagranicznej.

Przegląd Współczesny (październik 1934) Adam Krzyżanowski: Bogactwo i moralność zeszłego wieku; Tadeusz Kowalski: Omar Chajjam (II); Herbert Sand: Moralność podatkowa; Roman Dyboski: Międzynarodowy Zjazd Profesorów Szkół Akademickich w Oxfordzie; Marja Patkaniowska: Dwudziestopięciolecie pracy naukowej Romana Dyboskiego; Władysław Wolert: Socjologja przewrotu hitlerowskiego; Witold Klinger: Wernyhora i jego proroctwa w świetle krytyki historycznej; Tadeusz Sinko: Mussetowskie komedje Norwida (I); Roman Pollak: Polonica włoskie (I).

Adam Bielecki: Spiekota. Poezje. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Str. 99.

Biuletyn Polsko - Ukraiński (Nr. 44): Bolesna strata; Pełne zbiorowe wydanie dzieł Szewczenki; R. Żachowski: O stosunkach literackich w U. S. S. R.; A. Baumgardten: Poezja ukraińska w polskiem radjo; Varia; Kronika; Na marginesie.

Die neue Weltbühne (r. III. Nr. 44). H. Budzisławski: Deutsche Mobilmachung; H. v. Gerlach: Poincaré und die Pazifisten: E. Ottwalt: Wieder in Moskau; S. Aufhäuser: Dennoch Einheitsfront: H. Lenard: Juden in Westpolen; W. Grimm: Laval: H. Konrad: Ende der Nira.

Bunt Młodych (r. V, Nr. 16) Al. Bocheński: Trzy oblicza Żyrardowa; Ksawery Pruszyński: Nasi murzyńscy kuzyni; St. Żejmis: Na Polesiu puls bije mocniej. III. Pan wojewoda miesi ciasto: A. Listowski: Na marginesie współczesności; Claus Mehnert: Młodzież niemiecka; Jan Frankowski: Sprawiedliwość społeczna; A. Cis.: Włościaństwo a kapitalizm; J. Reisler: Od Marxa do Stalina; Ilja Iff i Eug. Pietrow: Za samowarem; M. Sapieżanka: Przegląd prasy zagranicznej.

Historja i polityka

Niewielkie studjum P. de la Gorge'a p. t. „Napoleon III et sa politique" ukazuje się obecnie w 8-mem wydaniu. Szczupła ta książka jest syntetycznym obrazem życia i losu Napoleona III — skreślonym przez nieprzeciętnego znawcę psychologji człowieka.

„Disraeli and Gladstone" — jest to ciekawe studjum biograficzne, polegające na porównaniu tych dwu wielkich mężów stanu z epoki wiktorjańskiej. Autor w studjum swem opiera się na monumentalnej, źródłowej biografji lorda Morley'a p. t. „The Life of Gladston" i na opracowaniach o Disraelim pióra Monypenny'ego i Buckle'a.

Indje współczesne usiłuje zobrazować możliwie szczegółowo znany dziennikarz angielski, wydający pismo w Indjach, a ukrywający się pod pseudonimem Charles Sandford (Tytuł książki: „India Land of Regrets" — The Fenland Press — Londyn). Studjum jego jest czysto opisowe. Autor nie usiłuje analizować swych spostrzeżeń, a już tembardziej nie buduje z nich żadnej syntezy. Książka jego jest jednak interesująca, bo jako dziennikarz miał on możność poznać całą „hierarchję" Indyj; — od wicekróla poczynając, a kończąc na najbiedniejszym handlarzu z bazarów.

Biografją marszałka Lyautey'a, głównie w okresie jego służby w kolonjach — zajmuje się Paluel - Marmont w swej pracy noszącej tytuł „Lautey" (La N. S. d'Edition, Paryż).

Pakt Kelloga od chwili swego powstania był już wielokrotnie, zarówno ze względów teoretycznych jak i praktycznych, najróżnorodniej interpretowany (w związku z konfliktami między Chinami i Z. S. R. R., Kolumbją i Peru, Boliwją i Paragwajem, Chinami i Japonją). To skłoniło znanego teoretyka prawa A. N. Mandelstama do wydania pracy, zatytułowanej „L'interprétation du pacte Briand — Kellogg par les gouvernements et les parlements des états signataires" (A. Pedone — Paryż), w której autor przedstawia nam te interpretacje w związku z interpretacją oficjalną. Autor zapowiada dalszą publikację na ten temat.

H. R. Knickerbockera, znanego amerykańskiego dziennikarza, książka o Anglji ukazała się w przekładzie na język niemiecki p. t. „Die Schwarzhemden in England und Englands wirtschaftlicher Aufstieg" (E. Rowohlt Vlg. — Berlin). Autor badał zagadnienie, któremu poświęcił swą książkę, nietylko w rozmowach z różnymi osobistościami angielskiego świata politycznego i gospodarczego, lecz także podróżując wiele po Anglji, zwiedzając jej ośrodki przemysłowe i rolnicze.

Fortunat Strowski wydał u Grasseta w Paryżu książkę p. t. „Nationalisme ou Patriotisme", w której — rozmyślając nad tem zagadnieniem, przeciwstawia patrjotyzm francuski mistycznemu nacjonalizmowi Niemiec.

Świat słowiański

80-lecie Ignacego Herrmanna. W sierpniu b. r. obchodził 80-lecie swych urodzin nestor dziennikarzy czeskich I. Herrmann. Początki twórczości literackiej Herrmanna przypadają na r. 1873, kiedy to współpracował z czasopismami: „Humoristické listy" i „Palcček". Najwybitniejszemi i najbardziej znanemi dziełami Herrmanna są obrazki z życia drobnego mieszczaństwa praskiego, mianowicie: „U snědeného krámu", dalej „Ojciec Kondelik i narzeczony Vejvara" i „Teść Kondelik i zięć Vejvara". Ta przedostatnia powieść przetłumaczona na polskie, cieszyła się swego czasu u nas poczytnością, dzięki przebłyskom kapitalnego humoru autora.

W związku z jego jubileuszem ukazało się też studjum o jego twórczości, które napisał prof. Miloslav Hýsek.

„Doba pobělohorská a Albrecht z Valdštejna". Pod tym tytułem ukazała się księga zbiorowa wydana w Pradze a zawierająca studja i referaty, wygłoszone z okazji trzechsetletniej rocznicy śmierci Albrechta Wallensteina i związanej z nią wystawy w Pradze. Studja zawarte w księdze są doskonałym przykładem, że historycy nie zadowalają się pobieżnemi charakterystykami, ale usiłują przeniknąć aż do rdzenia zagadkowej osobistości Wallensteina, ginącej w mroku minionych wieków.

Pierwszą część księgi otwiera artykuł K. Stloukala „Česká otázka v době předbělohorské" (Zagadnienie czeskie przed Białą Górą). Potem następują studja i referaty J. Prokeša: „Bílé Hora", Odložilika: „Politické a hospodářské poměry po Bílé Hoře". W drugiej części księgi zwraca uwagę studjum Miloslava Hýska p. t. „Bílé Hora a Valdštejn v české literatuře", grzeszące może nieco brakiem kompetencji historycznej; jeśli chodzi o stosunek literatury pięknej do Białej Góry, to został on potraktowany trochę powierzchownie przez autora. Ciekawy przegląd daje Wirth p. t. „Valdštejn a současné umění" oraz studjum Fr. Roubíka: Albrecht z Valdštejna, vévoda frýdlantský, będące próbą skreślenia portretu Wallensteina na tle epoki.

Dr. Karel Krejči, asystent przy katedrze literatury polskiej w Pradze, wydaje w najbliższym czasie ciekawe studjum p. t. „Polska literatura ve vírech revoluce".

REDAKCJA: Jerzy Braun. Krosno, Rafinerja nafty (Małopolska). Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
ADMINISTRACJA: Warszawa. Chmielna 68 m. 37 Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ", Warszawa, Solec 87.